Nr. 46. Warszawa, dnia 31 Października (12 Listopada) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZBROJENIE SIĘ ANGLII.

Francuska demonstracya, przygotowywana w Tulonie i Brest pod czas rokowań o Faszodę, rozwiała się w mgłę wraz z samemi rokowaniami; ale za to demonstracya angielska, którą z początku ledwo było widać, olbrzymieje coraz bardziej i ma już wszelkie pozory poważnego zbrojenia się w poważnym też celu. W Plymouth, w Spithead pracują dzień i noc nad postawieniem jak największej liczby okrętów na stopie takiej gotowości wojennej, ażeby w ciągu 24 godzin wypuścić je można było na morze z zupełnym spokojem i ufnością. Na Malcie ruch ogromny; w tę i ową stronę przewijają się przez wybornie obraną placówkę morską ciągłe posyłki w martwym i żywym materyale, ciągłe dostawy, wojenne i transportowe okręty. Pod Gibraltarem stała przez parę tygodni cała eskadra; z ubocznych doniesień dowiedziano się o wzniesieniu tam nowych fortów jeszcze w lecie r. b. Na Krecie ma Anglia siły tak lądowe, jak morskie większe, niż którekolwiek z mocarstw współdziałających. W Wei-hai-wei nawet w Hong-Kong, na wodach chińskich, biło gorączkowe tętno w przeszłym tygodniu. Kiedy w Anglii dochodzi do tego, że zaczynają już uruchomiać rezerwy, gra nie może być obliczoną na prosty dekoracyjny popis. Równie wymownem jest zawarcie kontraktów na dostawę 200,000 ton węgla dla marynarki. Nie robi się takiej krzątaniny i nieodłącznej od niej wrzawy, bez rzeczywistego napięcia woli ku właściwemu jej zużytkowaniu, a właściwem może tu być tylko wyprowadzenie swoich sił zbrojnych na międzynarodową widownię świata dla spełnienia pewnego już czynu, a nie prostej tylko demonstracyi.

Co może być tym przedsięwziętym przez Anglię czynem? Czy odrazu już wojna? Bynajmniej. Czynem może być także pokazanie gotowości do wojny. Wszelka gra polityczna jest i psychologiczną: każdy chce objawieniem pobudek własnych wywołać pewne pożądane dla siebie pobudki w przeciwniku. Jeżeli przeciwieństwo doszło już do tego, że się nie da słowami ułagodzić, używa się innej argumentacyi: pokazuje się zęby, za dyplomatę wsuwa się karabin i działo, aby dopowiedziały to, na co język dyplomaty był już bezsilnym; i one to dopiero mają wywołać owe pożądane pobudki. To właśnie czyni Anglia obecnie: gotowością wojenną popiera zamysły i żądania swej dyplomacyi. Taktyka taka wskutek panującego w dziejach politycznych psychologizmu pociąga za sobą niebezpieczeństwo rzeczywistej wojny; ale same już tylko dzieje nam współczesne, nie mówiąc już o dawniejszych, nieraz przekonywały, że taki postrach wojenny, poważny, istotny, w uzbrojenia wcielony — wojny nie sprowadzał, a korzyści zapewniał. Dlatego energia markiza Salisburego — wielce popularna w Anglii — przedstawia się jako widome, jawne dla wszystkich wzmocnienie i zarazem uzupełnienie środków dyplomatycznych, użytych już w jakichś rokowaniach przeciwnikiem, które albo już teraz dotarły do punktu krytycznego, albo też wkrótce do niego dotrą. Lekkoduch tylko mógłby zabawiać się w takie demonstracye, jak obecna, bez istotnej potrzeby, bez nakazu woli świadomie i poważnie rzucającej się w przyszłość.

Anglia ma tyle spraw na kuli ziemskiej i tyle sprzecznych z różnemi mocarstwami interesów, że mimo danych faktycznych, przy rozważaniu prawdopodobieństwa współdziałających, niełatwo jest dojść do wskazania tego właśnie przeciwnika, którego politycy angielscy chcą obecnie swoją psychologią zbrojenia się skruszyć. Najbliższą wydaje się Francya. Zatarg o Faszodę wprawdzie kończy się tak, jak przewidywano: ustąpieniem rzeczypospolitej z nad Białego Nilu, a czy z dostępem do rzeki, czy bez dostępu, w każdym razie Francya tu już powiedziała ostatnie swe słowo, powiedziała tak stanowczo, że gdy 8 b. m. Brunet cofnął swą interpelacyę, galerye nawet podziękowały mu oklaskami. Ale Faszoda nie wyczerpuje wszystkiego. Bardzo być może, że Anglia, jak to już peroruje jej dziennikarstwo, teraz, po zmiażdżeniu kalifatu sudańskiego, chce swą słynną „okupacyę dla przywrócenia tylko spokojności w Egipcie“ zamienić na czyste posiadanie pod nazwą „protektoratu,“ którą w tym naszym wieku „protektoratów“ gruba naiwność tylko mogłaby uważać za etykietę wstydliwości. Francya, wykwitowana przed piętnastu laty z okupacyi, może teraz chce powołać Anglię przed ten sam trybunał, który jej ongi przysądził Egipt jako zbankrutowanego chłystka, do dobrego prowadzenia się potrzebującego tylko szpicruty angielskiej. A może, zostawiając już Egipt na pastwę, chce zrównoważyć korzyści Albionu własnemi, jakieby znaleźć mogła w zajęciu Tripolitanii? Coby wszakże na taką zachciankę, na taki apetyt powiedziała — już nie Turcya, bo o nią mniejsza, — ale coby powiedziały Włochy, którym Anglia jakie dziesięć lat temu już przyrzekła pomagać przeciwko Francyi do opanowania paszaliku?

Zbrojenie się Anglii może być wymierzone i przeciwkom trzem mocarstwom współdziałającym na Wschodzie przy podziale Chin, a zwłaszcza przeciwko Rosyi, która, będąc geograficznie najbliższą, państwowo najpotężniejszą, najsilniej w tym tetralogu, ciągnącym się od zimy 1894—5

r., przemawiać może, najwięcej mówi i ma też do powiedzenia najwięcej. Jeżeli się możliwość tego lub innego kierunku energii angielskiej rozpatruje w związku z rokowaniami nieszczęsnej komisyi hiszpańsko-amerykańskiej w Paryżu; jeśli się bierze pod uwagę niewątpliwy już dziś gwałt moralny: żądanie Filipin, a dla tego żądania widzi gotowe poparcie Anglii— w duchu dotychczasowej polityki — trudno będzie odpędzić od siebie domniemanie, że mocarstwo to z pomocą Japonii i Stanów Zjednoczonych pragnie wydobyć się na wierzch, aby przynajmniej w części odzyskać stanowisko, jakie mu trzy mocarstwa współdziałające wydarły. Oczywiście, tyle się już stało w Chinach rzeczy niemiłych dla Anglii, że rozsądek polityczny jej mężów stanu nie pozwala im marzyć nawet o tem, aby się odstać mogły; ale ratowanie pozycyi, tj. miejsca najdogodniejszego do chwytania łupów— nie wykracza z granic wytkniętych przez zdrowy rozsądek. Przewidywanie oporu pobudza do uzbrojeń, mogących mieć i symptomatyczne i przygotowawcze znaczenie.

Tydzień polityczny. Co robić będzie p. Dupuy? — czekamy; co mówi — już wiemy. Na oświadczenie zasadnicze, złożone d. 4 b. m., powiał Freycinet: brzmi też ono dobrze: „Zasadę supremacyi władzy cywilnej uznajemy za swoją.“ — „Jesteśmy rządem zjednoczenia republikańskiego; postanowiliśmy opierać się jedynie na większości republikańskiej.“ „Trzeba uwolnić armię od pewnych zależności, w które ją podać chciano.“ — „Stoimy wobec decyzyi sprawiedliwości i potrafimy okazać dla niej szacunek.“ Te zdania wystarczą, gdy je wygłaszać zacznie sama rzeczywistość zewnętrzna, a nie tylko p. Karol Dupuy. Nowy rząd zapowiedział jakąś reformę podatków, opartą na dochodzie. Projektowane prawodawstwo opiekuńcze obejmuje robotników wiejskich i miejskich. Upadek rolnictwa okazuje się już powszechnym. Bogata Francya nawet musi się ratować rządowym kredytem rolnym i rządowemi ubezpieczeniami; ustalenie taryf celnych — jak wiadomo ciążących na zbożu zagranicznem — należy do tegoż systematu obrony. Freycinet przyrzeczenie zmienił odrazu w czyn: uwolnił armię od generała Rénouarda, zwolennika Boisdeffre'ów i Gonse'ów i dał jej nowego szefa sztabu generalnego, Braulta, swego przyjaciela, człowieka stałych przekonań republikańskich. Dalsze wymiatanie śmieci ze sztabu i z ministeryum wymaga zarówno energii, jak przezorności.

Francya uległa. Salisbury na bankiecie dla nowego lorda Kitchener of Chartum oznajmił, że wyprawa francuska ustępuje z Faszody.

Daily Chronicle otrzymał z Paryża telegram o sprzysiężeniu się bandy przeciwników rewizyi w procesie Dreyfusa, na życie jej obrońców: Trarieux'go i Pressenségo; prefektura policyjna zaleciła im, aby często zmieniali mieszkania.

Czynności komisyi hiszpańsko-amerykańskiej w nowym zastoju. Amerykanie wbrew protokółowi z d. 12 sierpnia zażądali całego wyspozbioru Filipińskiego. Jest to gwałt moralny niesłychany. W układach po wojnach zmniejsza się żądania, a nie zwiększa, największe stawiając wtedy, kiedy jeszcze grzmią działa. Rzecz prosta, że Hiszpanie się oparli. Mówią o zamiarze odwołania się do mocarstw; ale jest to pewnie zamiar samych dziennikarzy. Mocarstwa mogłyby coś zrobić, jeśli nie dla ideałów lub dla pięknych oczu andaluzyjskich, to dla samych siebie; Ameryka bowiem, zbratana z Anglią, na Filipinach jest mniej od Hiszpanii pożądaną.

D. 5 b. m. admirałowie objęli Kretę w zarząd; mają 22,000 wojska. Turkom pozostawiono parę dekoracyjnych pozycyj. Istotnej załogi podobno niema już ani jednej. Sułtanowi jakoby sam Prorok nie pozwalał mianować ks. Jerzego gubernatorem, a choćby już tylko komisarzem *tureckim* — nowy figiel dyplomacyi.

W d. 5 b. m. Schönerer jawnie już ucałował rękę pruską. Dnia 8 b. m. znowu Wolf zwymyślał Polaków jako „naród pasorzytów.“ Gniewosz nazwał go „Gassenbube“: przyszło do pojedynku. Większość udaremniła niedorzeczne oskarżenie najpierw Badeniego o roztrwonienie funduszów publicznych (układ z *Reichswehr*), a potem Thuna, o korzystanie z § 14 prawa z r. 1867. Węgrzy odrzucili kwotę austryacką, Austryacy nie chcą słyszeć o węgierskiej. Cesarz rozstrzygnie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POLE WŁAŚCIWE.

Rozstrzygnięto w Warszawie d. 6 b. m. konkurs na wzory do tkanin, ogłoszony przez pp. Heinzla i Kunitzera z Łodzi. Był to jeden z najpomyślniejszych konkursów w ostatnich czasach, do tego stopnia, że zamiast pierwotnie zaprojektowanych sześciu nagród, wyróżniono i nagrodzono 15 prac (na sumę ogólną 1,300 rb.). Po otworzeniu kopert okazało się, że większość laureatów stanowią kobiety, które otrzymały dziewięć nagród: 1) M. Leszczyc (Leokadya Mirosławska; 2) Br. Poświkowa; 4) Natalia Żochowska; 5) Marya Kurzańska; 6) Julia Radwan (ówna? owa?); 9) i 12) Marya Tyszka; 12) Aleksandra Buszmakin; 14) Marya Zaremba. Przewaga więc zupełna i w liczbie i w stopniu nagród. Sąd konkursowy, złożony z pp. J. Kunitzera, J. Bobrowskiego, A. Herzego, N. Lukenbacha, L. Marguliesa i Miłosza Kotarbińskiego (w zastępstwie prof. Gersona), orzekł, że prace te, obfite i bogate, odznaczają się pomysłami pięknymi i dobrze wykonanymi. Są między niemi pięknie komponowane i rysowane, lub stylizowane z dużem poczuciem i szlachetnym smakiem, wreszcie harmonijnie i oryginalnie zabarwione, albo odznaczające się dobrem rozwinięciem ornamentacyjnem kształtów roślinnych. Prace pierwszej laureatki wyróżniają się „wybitnie szerokim stylem ornamentacyjnym, dzielnym stylizowanym rysunkiem, pomysłowością i bardzo dobrem harmonijnem zestawie-

---

Dokument tajemny procesu Dantona

Szkic historyczno-prawny

przez

JÓZEFA REINACHA.

VIII.

Uzbrojeni w dekret Konwencyi, który był wyrokiem śmierci, Herman i Fouquier pewni byli zwycięztwa. Konwencya posłuszną była Robespierre'owi: czyżby mu się oparli przysięgli? Wydało mu się to niemożebnem, a jednak tak było. Wszystko, co dotąd wymyślano najbardziej zdradzieckiego przeciwko oskarżonym, obróciło się na ich korzyść nawet w oczach tych wybrańców — przysięgłych. Sprzężenie Dantona z łotrami, głupie oskarżenie o rojalizm, skierowane przeciwko założycielom rzeczypospolitej, niecne oskarżenie o przekupstwo i kradzież, przerwana obrona, odmowa zbadania świadków, dekret Konwencyi, sine twarze członków Komitetu Ocalenia Publicznego po za krzesłami Trybunału — nic na nich nie wpłynęło. Po zawieszeniu posiedzenia, które było trzeciem z kolei, członkowie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego przystąpili do nich, a raczej zawładnęli każdym z nich, krzycząc, gestykulując, przysięgając, że „oskarżeni byli zbrodniarzami, spiskowcami, a zwłaszcza Danton.“ Wzorem wszystkich zbrodni politycznych, powoływali racyę stanu, błagali przysięgłych, aby sprawiedliwość złożyli w ofierze „okropnej bogini.“ Souberbielle, Topino-Lebrun nawet, wahali się jeszcze wobec zbrodni. Inni płakali. Sędziowie, przysięgli, kaci rozeszli się w nocy, nie pogodziwszy się w zdaniu.

16-ty Germinala (5 kwietnia) był czwartym dniem posiedzenia, które miało się rozpocząć o godzinie dziewiątej. Od świtu Fouquier był w swym gabinecie z Hermanem; przybyli do nich Amar, Vouland, Vadior i David. Przysięgli ze swej strony zeszli się w swej izbie, również zmieszani jak w przeddzień i podjęli na nowo rozprawy. Pisarz Pâris stał na czatach. Cokolwiek później widział członków Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego, dążących do małej izby, „z której można słyszeć, co się dzieje w izbie przysięgłych“ i Fouquiera wchodzącego wraz z Hermanem. Po upływie pewnego czasu Herman i Fouquier wyszli z izby przysięgłych, a wkrótce po nich Topino-Lebrun. Pâris zwraca się do niego z zapytaniem. Topino odpowiada mu, „że Herman i Fouquier domagali się od nich (przysięgłych), aby oświadczyli, że byli dostatecznie objaśnieni i że dla skłonienia ich do tego, odmalowali im oskarżonych jako zbrodniarzy, spiskowców, *że przedstawili im list, o którym twierdzili, że nadszedł z zagranicy i że był adresowany do Dantona.*“

Kiedy następnego roku, w procesie Fouquiera, Pâris opowiedział ten fakt, Herman i Fouquier krzyżowali się w odpowiedziach. Herman twierdził, że wszedł do izby przysięgłych „trzeciego dnia i pozostał w niej wszystkiego cztery lub pięć minut, aby im zakomunikować, że świadkowie odwodowi nie będą badani.“ Fouquier, przeciwnie, przyznał się do wizyty dnia czwartego. „Byłem w niej (w izbie narad przysięgłych) — powiedział — dopiero przed posiedzeniem — co właśnie twierdził Pâris — i nic tam nie mówiłem.“ Jeżeli nie miał nic do powiedzenia przysięgłym, po co wchodził do ich izby? Pâris odparł: „Topino-Lebrun powiedział mi, że Herman przedstawił ów list przysięgłym, to zaś wpłynęło natychmiastowo na oświadczenie ich, iż są dostatecznie objaśnieni.“ Herman i Fouquier zamilkli; ich spółoskarżony Renaudin, jeden z przysięgłych, przyznał się; Topino, który był zbiegł, nigdy nie zaprzeczył temu twierdzeniu.

Nie dowiedziano się nigdy, co to był za dokument tajemny. To tylko pewna, że nie był bynajmniej listem, o którym Saint-Just mówił Konwencyi w swym raporcie z d. 11 Germinala, zwracając się w następujących słowach do nieobecnego Dantona: „List ambasadora hiszpańskiego w Wenecyi do księcia Alcudia — był nim Godoi — utrzymuje, że się podejrzywają w Paryżu, iż miewałeś w Temple narady z królową. Ambasador hiszpański twierdzi w tym samym liście, pisanym w czerw-

niem barw." Druga „z energią i smakiem" wykonała swoją pracę (użycie ornamentacyjne rysów w dwóch kombinacyach kolorowych, karliny i lżejszych falistych rzutów kwiatowych). W pracach innych laureatek uderza wielostronna pomysłowość, „dobre zrozumienie *praktycznych* zadań konkursu," dalej — subtelnie malowane i rysowane groszki i margerytki w dwu tonach, dobre ułożenie ornamentu z bratków jednego koloru, lecz różnej siły.

Konkurs tedy nietylko przyniósł obfity plon przemysłowi tkackiemu, który nadspodziewanie łekko i tanio odświeży pod względem estetycznym swoje wyroby i zyska tym sposobem szerokie koła spożywców — lecz także dał on nadzwyczaj cenne wskazówki naszym pracownicom. Sztuka stosowana do przemysłu jest polem bardzo rozległem, dotychczas jeszcze należycie niewyzyskanem. Najróżnorodniejsze gałęzie przemysłu wielkiego wymagają nieustannie świeżych, niepospolitych wzorów, od tego bowiem zależy szerokie powodzenie wyrobów. Kto potrafi jak najwięcej tych wzorów dostarczać i usuwać banalne szablony, nie zaspakajające coraz wybredniejszych wymagań publiczności, ten niewątpliwie znajdzie pracę bardzo korzystną, samodzielną a zarazem wdzięczną. Nie jest to więc zbyt wązkie i płytkie źródło zarobkowania. Przeciwnie — może ono powołać do pracy liczne szeregi, ale tylko ludzi rzetelnie uzdolnionych i posiadających dużo gustu, oraz zdolności odczuwania wymagań ogółu.

Jak nam wykazało świetne zwycięztwo kobiet na konkursie niniejszym, jest to bardzo właściwe pole dla uzdolnionych rzesz niewieścich; szczerze więc pragniemy, żeby one mogły je uprawiać stale. Oczywiście nie zwracamy się z tem życzeniem do całych mas pracownic, lecz tylko do tych, które poczują w sobie rzetelne zdolności w danym zakresie. Robimy zaś to zastrzeżenie, pamiętając już z obserwacyi życiowej chorobliwe u nas zjawisko, że jak się tylko znajdzie jakiś szmat niwy korzystny, to wnet całe tłumy na nią się rzucają i w końcu wywołują smutne i fatalne w skutkach przepełnienie. Takich jednak korzystnych pól pracy, chociażby zastosowanie ornamentyki nietylko do tkactwa, lecz, jak rzekliśmy i do innych gałęzi przemysłu, można byłoby znaleźć bardzo wiele.

Tymczasem widzimy inne niepożądane zjawiska. Liczne tłumy niewieście napływają nieustannie do wielkiego ogniska życia i pracy, w nadziei znalezienia łatwego a korzystnego zarobku, napełniają księgi różnych kantorów pośrednictwa swojemi nazwiskami, wreszcie rozpaczliwie chwytają się najlichszych zarobków, zajmują placówki, na których nietylko są narażone na poniewierkę godności człowieczej, lecz i na wyzysk. Tym sposobem do życia ekonomicznego i społecznego wnoszą bardzo szkodliwy pierwiastek: siły za bezcen, odbijające się zgubnie na interesach ogółu pracowników. Mamy tedy nauczycielki, mało przygotowane i pedagogicznie i umysłowo, które udzielają lekcyj po 2 ruble za miesiąc lub po 15 kop. za godzinę. Mamy rzesze przepisywaczek, których praca mniej nawet przynosi, niż igła. Dalej idą szeregi tłomaczek, które z całą naiwnością biorą przypadkowo powieści kilkotomowe przekładają je i następnie obnoszą po wszystkich redakcyach bezskutecznie. Każda poszukiwaczka pracy na oślep marzy o miejscu korektorki w redakcyi, kasyerki, lub buchalterki w jakimkolwiek sklepie, „urzędniczki" na kolei. A gdy z tych setek rzeczywiście nieszczęśliwych, skołatanych i wykolejonych kobiet, dziesiątki „szczęśliwszych" dostaną nareszcie miejsca upragnione,— łzami rzewnemi je opłakują, połykając w milczeniu upokorzenie i poniewierkę, przy nieustannie dręczącej myśli, że lada tydzień, lada dzień mogą ten nędzny zarobek utracić.

Jakie są warunki i podstawy tej pracy, wymownie charakteryzuje świeży obrazek, który wydobywamy z ukrycia i dajemy go zarazem jako przestrogę ogólną, dla naszych kobiet-pracownic. W sklepie bławatnym p. Falęckiego przy ul. Niecałej pracowała rzetelnie i z wielkim pożytkiem dla przedsiębiorstwa panna G. Po trzech latach takiej pracy właściciel podał jej do podpisania następujący warunek, osłodzony ubolewaniem i uznaniem dla pracownicy: „Przyjąwszy posadę w magazynie p. F., niniejszem zgadzam się na wymówienie sobie miejsca w przeciągu jednego miesiąca, bez względu na datę i z tego tytułu do pana F. nie mam żadnej pretensyi." Otrzymawszy taką rękojmię bezpieczeństwa, usunął następnie pracownicę bez skrupułów i obaw odpowiedzialności. Warunek taki podpisuje każdy pracownik, przy wstępie na posadę. Już ten sam fakt bez komentarzy piętnuje dostatecznie przedsiębiorcę. Co do p. G., zachodzi ta różnica warunków, że zmuszono ją do tego po trzech latach pracy. A przecież była to placówka jedna z mocniejszych, bo oparta na uznaniu zdolności i rzetelności oraz na dłuższym okresie pracy. Setki zaś, nawet tysiące takich posad można uważać za przelotne, chwilowe, bo trzeba mieć dużo mocy panowania nad sobą, trzeba wielkiego zaparcia się siebie, ażeby przez długi czas znosić poniewierkę a bardzo często i obelgę. Tylko rozpaczliwe warunki bytu, tylko ciężkie obowiązki rodzinne zmuszają nasze kobiety do trzymania się za taką

---

cu roku zeszłego: „Strachem przejmuje nas przywrócenie Komitetu Ocalenia Publicznego." *Należałeś do tego, Dantonie!* List ten, istotnie, który miał być przejęty na statku hiszpańskim przez nasze krzyżowce morza Śródziemnego, był adresowany do pierwszego ministra Hiszpanii, przez ambasadora przy Najjaśniejszej Republice Weneckiej. Otóż Topino-Lebrun mówi do Fabrycyusza Pâris *o liście adresowanym z zagranicy do Dantona.* Twierdzenie, że Danton i Lecroix mieli spiskować z Maryą Antoniną, było zresztą wygłoszone na posiedzeniu publicznem i upadło samo przez się. Widocznie nie dla ponownego przedstawienia go Fouquier i Herman zgwałcili prawo, lecz pokazali przysięgłym w sali narad dokument, który oskarżał Dantona o zdradę i którego nie śmiano przedstawić ani jemu, ani nawet audytoryum.

IX.

Przysięgli, oszukani w taki sposób, wierzyli, iż są objaśnieni. Posiedzenie rozpoczęło się na nowo. Urzędowy redaktor *Dyaryusza Trybunału rewolucyjnego* opowiada o niem w sposób następujący: „Kiedy Danton i Lacroix domagali się, aby im pozwolono bronić się w dalszym ciągu, oskarżyciel publiczny, stosownie do dekretu, który chce, aby przysięgli byli zapytani, czy sprawa jest dla nich dostatecznie wyjaśnioną, jeśli postępowanie w niej ciągnęło się przeszło trzy doby, zażądał od nich oświadczenia w tym względzie. Przysięgli domagali się pozwolenia usunięcia się do sali obrad. Wówczas oskarżeni, a zwłaszcza Lacroix i Danton, krzyczeli na niesprawiedliwość i tyranię: „Będą nas sądzili, nie wysłuchawszy"— wołali. „Precz z naradami—dodali—dość żyliśmy, aby usnąć na łonie sławy! Niech nas wiodą na rusztowanie!" To zachowanie się „nieprzyzwoite" skłoniło Trybunał do usunięcia z posiedzenia oskarżonych.

Odegrała się scena iście przerażająca. „Rozprawy zamknięto — krzyczał Danton. — Jakto? Ależ nie rozpoczęto ich nawet! Toć nie odczytaliście dokumentów, nie zbadaliście wcale świadków!" Lacroix wołał: „To hańba!" Kamil, rozdzierając projekt swej obrony, ciska zmięty papier w głowę Fouquierowi. Konwulsyjnie czepiał się ławki oskarżonych. Potrzeba było aż trzech ludzi do wyniesienia go z sali.

Po wyprowadzeniu oskarżonych, przysięgli cofnęli się ze swej sali. Dokument tajemny, wrzekomy dowód przedstawiony im przez Hermana i Fouquiera, jako pochodzący z zagranicy (tj. od Pitta lub Koburga) i adresowany do Dantona, przekonał ich stanowczo. Amar, Vouland i Vadier w towarzystwie Fouquiera wywierali jeszcze nacisk na Hermana, „aby użył wszelkich możliwych środków dla wyjednania kary śmierci."

Souberbielle wszelako wahał się. Zabrakło mu odwagi. Wyszedł z sali na chwilę dla zaczerpnięcia powietrza i spotkał w korytarzu przechadzającego się Topino. „To, co się odbywa — rzekł do niego malarz — nie jest procesem; jest to chyba droga do celu. Nie jesteśmy już przysięgłymi, ale mężami stanu." Oto odezwanie się Hermana w procesie Fouquiera przed 2-gim Trybunałem Rewolucyjnym: "Sprawa ta była procesem nadzwyczajnym i politycznym." Souberbielle: „Czyż istnieją dwie sprawiedliwości? Jedna dla zwykłych ludzi, druga dla wyższych?" Topino: „Dwie są niemożebne; czy chcesz zabić Robespierre'a?" Souberbielle: „Nie." Topino: „A więc wydałeś na nich wyrok."

Podczas gdy przysięgli odbywali narady, Fabrycyusz Pâris znajdował się w kancelaryi pisarza, w izbie położonej w głębi gmachu. Usłyszał on niebawem hałas, który go dochodził od strony schodów i zmierzył zaraz ku drzwiom kancelaryi. Byli to przysięgli z Trinchandem na czele. Z wyjątkiem niektórych mieli wygląd szaleńców. Wściekłość i gniew krańcowy malowały się na ich twarzach. Trinchaud, zbliżywszy się z miną szaloną i uczyniwszy ruch ręką, który zdradził myśl z całą dosadnością, zawołał: „Zbrodniarze zginą!"

Wyrok na Dantona wydrukowano z samego rana, *przed wydaniem go.* Był tak sformułowany:

„Wskutek oświadczenia przysięgłych, stwierdzającego:

że istnieje sprzysiężenie, dążące do przywrócenia monarchii, do zburzenia

„deskę zbawienia“ dłonią zaciśniętą, pomimo, że w tej desce są gwoździe krwawiące, że z niej na głowę spływa nieraz błoto stosunków zarobkodawczych.

„Delegacya pracy kobiet,“ tak szumnie zapowiadająca przed paru laty swoją działalność zbawienną, a obecnie aż nazbyt skromnie ukryta przed wzrokiem społeczeństwa, jeżeli jeszcze się nie rozpadła i nie ochłódła w swym zapale, powinna szczerze się wziąć do przysposabiania gruntu praktycznego, zająć się wyrobieniem dróg możliwie najszerszych i najprostszych, któreby kobietom naszym dały możność zdobywania pracy samodzielnej na polach właściwych, lecz dotąd leżących odłogiem. Zabiegi owej delegacyi (obecnie kto wie, czy już nie fantastycznej), powinny być tem skuteczniejsze, że wyrosła ona przecież pod skrzydłami Towarzystwa przemysłu i handlu. Zanim ukaże się na świecie ów „poradnik“ (ekonomiczny) dla kobiet, który miał powstać z cudownym pośpiechem i w drobnowidzu informacyjnym pokazać naszym kobietom wszelkie korzystne i niekorzystne dziedziny pracy — niech przynajmniej to kółko niewieście, zwane delegacyą, cokolwiek zechce robić i ujawniać swoją działalność, choćby dlatego, żeby społeczeństwo mogło mu w tej pracy dopomagać.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Wybory.

Dziś już, niestety, można stwierdzić, żeśmy w sejmie pruskim przegrali, że porażka wyborcza jest klęską dotkliwą, która może pociągnąć za sobą fatalne następstwa. Wpłynęło na to wiele przyczyn bardzo ważnych, które wszystkie wogóle możeby nie były tak niebezpieczne, gdyby nie miały gruntu przyjaznego w sejmie pruskim i w organizacyi wyborów. Przedewszystkiem — co to jest ów sejm? — Dla Polaków a zarazem i katolików ma on większe znaczenie, niż parlament, bo gdy w tym ostatnim rozstrzygane są sprawy przeważnie ogólne z zakresu polityki wewnętrznej i zewnętrznej (sprawy zagraniczne, marynarka, armia), w sejmie ważą się losy polityki wewnętrznej, miejscowej. To też w ostatnim okresie dziejów ucisku plemiennego sejm pruski odegrał nadzwyczaj ważną rolę. Tam się zrodziła walka kościelno-polityczna, którą najbardziej odczuły dzielnice polskie, tam obmyślano piekielną ustawę kolonizacyjną, tam uchwalono wykluczenie języka polskiego ze szkół, urzędów i wszelkich zakładów publicznych. Wreszcie jest to ognisko, z którego wylatują rakiety i pochodnie, niecące pożar walki plemiennej. Chmury dymu i tumany popiołu zasypują oczy, tamują oddech Polakom, pozbawiają ich powietrza. Stamtąd spadły na nas wnioski o skrępowanie swobody stowarzyszeń i zebrań polskich.

Niebezpieczeństwo tem groźniejsze, że organizacya wyborów oparta jest na systemie wrogim nietylko dla Polaków, lecz wogóle dla interesów mas ludności. To jest charakterystycznem, że Bismarck, ten duch niesprawiedliwości i ucisku, tyran swobody i interesów społecznych a obrońca gwałtu i ucisku, już w r. 1867 nazwał prawo wyborcze do sejmu pruskiego najlichszym i najniesprawiedliwszym ze wszystkich pod słońcem systemów wyborczych, gdyż daje on przewagę drobnej garstce bogaczów nad masą obywateli kraju. Prawo to obowiązuje od r. 1849, a wszelkie usiłowania, zmierzające do wprowadzenia zmian w tym systemie jawnej niesprawiedliwości, nie dały żadnych wyników. Cele osobiste pewnych grup tudzież opór Izby panów nie pozwoliły na żadne reformy. Przejrzyjmy chociaż pobieżnie ten znamienny system, który w dziejach cywilizacyi i humanizmu niemałe będzie miał znaczenie: W każdym okręgu wyborczym tworzą się okręgi prawyborcze z 750—1,500 mieszkańców. Ważne przytem ma znaczenie suma podatków państwowych i komunalnych w każdym z okręgów. Suma ogólna dzieli się na trzy równe części, wyborcy zaś są zapisywani stosownie do wysokości podatków opłacanych—do jednej z trzech klas. Każda klasa powołuje jedną trzecią wyborców, ci zaś — posłów. I cóż wynika z takiego podziału? Oto ludzie zamożni z okręgu, w którym mieszkają bogacze, muszą głosować *w trzeciej* klasie, gdy tymczasem wyborcy, posiadający średnie dochody, lecz zamieszkali w okręgach, zaludnionych przez warstwy ubogie, należą do klasy drugiej, a nawet pierwszej. Oto przykład plastyczny: 52 okrąg prawyborczy pierwszego okręgu wyborczego w Berlinie posiada kanclerza, ks. Hohenlohe, kilku ministrów i różnych dostojników państwowych. W okręgu tym wszakże całą listę pierwszej klasy zapełnia *jeden* mocarz finansowy, płacący rocznie 59,637 marek podatku; na liście zaś drugiej klasy figuruje również tylko jeden bogacz, płacący 18,845 m. Ci, na których cięży mniejsza suma podatkowa, należą już do klasy trzeciej. W tej właśnie ostatniej kategoryi znaleźli się ministrowie Thielen i Schönstadt, sekretarze stanu Bülow i Possadowsky. Inny okrąg w pierwszej klasie posiadał jedynie szefa domu bankierskiego, Mendelssohna - Bartoldy'ego, w drugiej zaś tylko dwu członków tego domu. Tym sposobem trzech Mendelssohnów-Bartoldich reprezentuje w swym obwodzie dwie trzecie prawyborców. Nad całą olbrzymią masą panują Mendelssohnowie; oni tylko wybierają posła, chociażby ich kandydat był wrogiem ogółu.

Na prowincyi również od siłaczów pieniężnych zależy przeważnie wybór posłów. Oto dlaczego z Poznania, pomimo zapewnienia kandydatowi polskiemu zupełnego zwycięstwa na podstawie powszechnego głosowania tajnego—zawsze przybywa do sejmu pruskiego poseł niemiecki.

Taki jest grunt, na którym potężnie, bez przeszkód rozrasta się zorganizowany ucisk Polaków. Dodajmy do tego inne nieprzyjazne dla nas warunki, które się wytworzyły w ostatnich czasach, a będziemy mieli ten cały ponury obraz chwili obecnej. Ważnym czynnikiem rozkładowym naszych sił walczących jest roz-

---

przedstawicielstwa narodowego i rządu republikańskiego;

że Danton przekonany został o uczestnictwie w tem sprzysiężeniu;

Trybunał, rozpoznawszy wnioski oskarżyciela publicznego, skazuje rzeczonego Dantona na karę śmierci, zgodnie z prawem z 23 Ventôse'a roku ubiegłego; uznaje jego majątek za przechodzący na rzecz Republiki, zgodnie z art. 2 tytułu 2 ustawy z d. 10 marca 1793 r.

Nakazuje, aby na żądanie oskarżyciela publicznego wyrok niniejszy wykonany był w ciągu 24 godzin, na placu Rewolucyi, w Paryżu, wydrukowany i rozlepiony w całej Rzeczypospolitej.“

Wszystkich innych oskarżonych, z wyjątkiem jednego Lullier'a, również skazano na karę śmierci. Na wniosek Fouquiera trybunał polecił, aby, zważywszy na nieprzyzwoitość, uszczypliwość i bluźnierstwa oskarżonych, postawiono pytania i ogłoszono wyrok w ich nieobecności. Podpisarz Ducray udał się przeto do więzienia Conciergerie dla odczytania wyroku każdemu ze skazańców zosobna, w kancelaryi więziennej. Żaden z nich nie chciał wysłuchać czytania. „To zbyteczna — rzekł Danton — można nas natychmiast zaprowadzić na gilotynę.“

Zaprowadzono ich na nią pod wieczór. Dantona stracono ostatniego, o wpół do szóstej — zachodziło słońce.

X.

Pisarz Pâris, przed którym straszne zwierzenie uczynił był Topino-Lebrun, zawezwany został nazajutrz przez Fouquiera, który zażądał od niego listy przysięgłych. Fouquier wziął ołówek i zaznaczył literą S (*stały*) nazwiska kilku przysięgłych, którzy uczestniczyli w rozprawach dnia poprzedniego. Pârisowi, który zdradzał pewne zdziwienie, Fouquier odpowiedział, patrząc mu ostro w oczy: „Rezoner z ciebie; my nie chcemy ludzi rezonujących, my chcemy, aby rzeczy szły naprzód. Co więcej, Komitet Ocalenia Publicznego chce tego.“ W dwadzieścia cztery godziny później Fabrycyusz Pâris został zaaresztowany i odprowadzony do Luksenburga, skąd wyszedł dopiero po Termidorze (upadek Robespierre'a).

Był on jednym z głównych świadków Fouquiera przed drugim Trybunałem Rewolucyjnym. Na posiedzeniu 19 Germinala roku III go opowiedział, co wiedział o mordzie prawnym Dantonistów i historyę dokumentu tajemnego. Wiemy już, że Herman i Fouquier przeczyli słabo, że Renaudin, jeden z przysięgłych, przeciwnie, przyznał fakt wejścia ich do sali narad. Antoni Judicis, oskarżyciel publiczny i jego pomocnik, Cambon, formalnie stwierdzili fakt, podany przez akt oskarżenia. „Zbadawszy — rzekli oni — zeznania Hermana, równie jak rozprawy przez nie wywołane, stwierdzamy, że Herman, nawrzeszczawszy przeciwko oskarżonym wszystko, co namiętność może zmyśleć najstraszniejszego, *pokazał był przysięgłym list, jakoby otrzymany z zagranicy i adresowany wrzekomo do Dantona, który to list skłonił ich do wyrzeczenia kary śmierci.*“

Rzeczą jest pewną, iż nawet bez zeznania pisarza, Herman i Fouquier byliby skazani na śmierć przez drugi Trybunał Rewolucyjny. Zajście wszelako z dokumentem tajemnym zaważyło na szali wyroku: wywołało wszędzie głębokie oburzenie. Nawet w owych czasach okropnych, w których posyłanie na gilotynę pokonanych w walce politycznej wydawało się zupełnie uprawnionem, podobne zapoznanie prawa naturalnego wydało się rzeczą straszną. Uważano za potworne, że można było skazać człowieka na podstawie dokumentu, którego mu nie przedstawiono. Robespieryści nawet pospieszyli z oświadczeniem, iż fakt, jeśli był istotnym, był wstrętnym, ale czy był dowiedziony? Zaprzeczali mu zażarcie, wbrew zresztą wszelkiej oczywistości. Bez wyrzutów sumienia przyjmowali odpowiedzialność za najwstrętniejsze czyny teroryzmu; odtrącali z oburzeniem odpowiedzialność za podobne wiarołomstwo sądowe. Ci szaleńcy zbyt jeszcze byli blizcy *Encyklopedyi* i *Ducha praw*, aby podobny zamach poczytać sobie mieli za tytuł zasługi i honoru.

Przeł. *J. Sz.*

łam wewnętrzny, waśnie, niechęci i ambicye partyjne. Jak wiadomo, przed kilku tygodniami ludowcy odnieśli zwycięztwo nad partyą dworską, w rezultacie zaś oba stronnictwa zawarły kompromis. W głębi jednak śród „dworskich“ pozostała niechęć wewnętrzna, podsycana ambicyą i wrodzoną antypatyą do ludowców i ludu. Było to tylko pojednanie wyrozumowane i zdawało się, że rozsądna polityka każe je utrzymać na stałe. Tymczasem wypłynęły na wierzch ambicye, maskujące niedołęztwo i upadek. „Zniechęceni pozostawili nowe siły na pastwę potęgi germańskiej, ażeby tym sposobem dowieść, że ów żywioł, który się stara zapanować, musi upaść. Istotnie taki rozłam jest zabójczy dla spraw narodu. Ci zaś, którzy chcą „ukarać zuchwałych,“ wykażą tym sposobem całą swoją strupieszałość. Nie chcą oni za nic w świecie zgodzić się z tem, że ich lira, na której przygrywali płaczliwie pokorne melodye dworskie, nie może już wydać nawet głosu zachrypłego, że zatem, jeżeli chcą jeszcze grać, niech się przyłączą do orkiestry złożonej ze zdrowszych i energiczniejszych żywiołów, które wydobywają akordy protestu przeciw uciskowi bez obłudy i osobistych celów jednostek, szukających karyery na wyżynach posterunków państwowych.

Taka orkiestra zgodna bardziej niż kiedykolwiek jest dla nas pożądana obecnie, w chwili przełomowej, kiedy wszelkie stronnictwa niemieckie postanowiły w zwartych, połączonych szeregach uderzyć na nas. Pomimo że konserwatyści niemieccy (przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej) walczą od lat wielu z wolnomyślnymi (przedstawicielami wielkiego handlu), to jednakże obecnie przy wyborach postanowili podać sobie ręce i zgodnie działać w sprawie prześladowań Polaków. Wolnomyślni wprawdzie zastrzegli się, że nie będą popierali konserwatystów, ale zarazem ofiarowali im swą dłoń w milczeniu, zapewniając, że się nie połączą z Polakami. „Gdyby jednak oni pomimo to zechcieli gdziekolwiek popierać Niemców wolnomyślnych, to chętnie z tej pomocy skorzystają.“ Takie cyniczne zdanie wygłasza *Posener Ztng*. Oczywiście zerwanie stosunków z wolnomyślnymi jest dla Polaków bardzo nie na rękę, wystawia ich bowiem zupełnie odosobnionych na bezpośredni ogień przemocy germańskiej.

Wybory dla Ks. Poznańskiego wypadły bardzo niepomyślnie, do czego oprócz powyżej wyliczonych przyczyn niemało dopomogła także komisya kolonizacyjna. Od czasu ostatnich wyborów w ciągu pięciu lat wykupiła ona sporo majątków polskich, a skutkiem tego ubyło bardzo dużo wyborców: właścicieli ziemskich, oficyalistów i robotników. Natomiast koloniści niemieccy oddali głosy swoje za rzeszą hakatystów. Prócz tego błędem jest wielkim, że komitety: prowincyonalny i powiatowe za późno biorą się do pracy, za późno agitują i urządzają akcyę wyborczą. Trzeba mieć siły Herkulesowe i cementową jednolitą podstawę charakteru wszystkich mas i stronnictw, ażeby w ciągu czterech tygodni można było przeprowadzić te zadania, które wymagają przynajmniej trzech miesięcy.

W samym Poznaniu wyniki wyborów można nazwać względnie pomyślnymi. Zyskano 89 wyborców (walmanów). Niemcy postępowcy z partyi Richtera mają 95, konserwatyści i rządowcy najwięcej, bo 98 walmanów. Natomiast powiaty poznańskie wyszły fatalnie. Wszystkie one, wraz z Obornickim, będą reprezentowane w sejmie przez dwu hakatystów. Jeszcze gorzej wypadły wybory w okręgu mogilnicko żnińsko-wągrowieckim. Udawało się tam zawsze przeprowadzić dwu posłów polskich. Liczono, że i teraz uda się to samo. Tymczasem obaj Polacy ponieśli porażkę, a natomiast przeszło dwu hakatystów większością 17 głosów. Wynik taki wywołała działalność komisyi kolonizacyjnej, która potrafiła w tym okręgu wykupić sporo majątków ziemskich z rąk polskich i tym sposobem znacznie przerzedzić szeregi nasze.

Wyniki wyborów niniejszych są następujące: Dzięki temu, iż wzięli udział socyalni demokraci, stosunek liczebny wyszedł w pewnej mierze na niekorzyść konserwatystów. Ze 148 mandatów utracili oni !, wolnokonserwatywni z 62 — 5. Następnie ponieśli straty narodowo-liberalni (w zasadzie stronnicy rządu, odmawiający mu poparcia tylko w razie ustaw wyjątkowych). Z 88 ubyło im 14, stosunkowo zaś najwięcej porażkę tę odczuli Polacy (z 18 — 4). Natomiast stronnictwa wolnomyślne, dzięki socyalnym demokratom, święcą stanowczy tryumf. Wolnomyślne stronnictwo ludowe, posiadające dotychczas w sejmie tylko 14 posłów, obecnie przeprowadziło aż 24; wolnomyślne zjednoczenie miało 6, dzisiaj zaś posiada już 10. Wreszcie centrum katolickie również pomyślnie załatwiło sprawy wyborów (uprzednio 94 mandaty, obecnie 99).

Jak widzimy, zmiany w stosunku stronnictw nie są tak bardzo wielkie; mają one jednak doniosłe znaczenie w stosunku do konserwatystów, którzy muszą ułedz tej na pozór drobnej przewadze. Ażeby otrzymać bezwzględną większość, musieliby oni zdobyć sobie jeszcze 11 głosów. Tego już nie dopną. A zatem wobec dzisiejszego układu stosunków wyborczych, żadne ważniejsze środki lub ustawy, proponowane przez ministeryum, nie przejdą bez zezwolenia większości, na którą z jednej strony składają się oba stronnictwa zachowawcze i narodowo-liberalne, z drugiej konserwatyści i centrum katolickie.

To jednak wszystko niewielką jest dla nas pociechą. Wybory obecne stworzą grupy, które pójdą na nas zgodnie całą siłą. Już obecnie *Schlesische Ztng* zapowiada ustawę, ograniczającą swobodę zebrań i stowarzyszeń, ażeby stłumić działalność socyalno-demokratyczną i zarazem wymierzyć nowy cios Polakom. Podobno ta nowa ustawa ma na celu „nieubłaganą walkę z wrogami porządku boskiego i ludzkiego,“ a zatem nietylko z socyalistami, lecz wszystkimi, którzy są źle usposobieni względem zapatrywań i dążności gabinetu pruskiego. Jesteśmy tedy w przededniu nowego ataku, a więc należy odpowiednio się przygotować. Przedewszystkiem zaś ufać w żywotność narodu, w prężność jego sił duchowych, moralnych i umysłowych, których nie zdławią żadne środki. W walce tej muszą być ofiary, ale wynik zawsze pozostanie pomyślny dla żywiołu polskiego, przed którego siłą intelektualną pierwej czy później muszą ustąpić wszelkie najohydniejsze środki gnębienia, na jakie ciągle się zdobywa przemoc germańska.

et.

Z GALICYI.

Rozbudzenie się Słowian w Austryi. — Dom narodowy czeski w Wiedniu. — Pretensya polityczna Czechów. — Obrady ankiety szkolnej.—Jej skład.— Ograniczenie dyskusyi. — Greka i łacina, czy tylko łacina? — Wniosek br. Reya. — Wady szkół średnich. — Zarzut hr. Tarnowskiego. — Produkt szkolny pod formą stowarzyszenia „Leopolia.“

Obstrukcya“ w Radzie państwa ustała w swojej formie gwałtownej, ale to bynajmniej nie znaczy, ażeby ogólne położenie polityczne i państwowe polepszyło się. Ugoda z Węgrami, rujnująca ekonomicznie Przedlitawię, nierozwiązana „kwestya językowa,“ rozbudzone w wysokim stopniu, zatargi narodowościowe, panowanie biurokracyi, nadużycia podatkowe, będące poprostu wybrykiem samowoli i zdzierstwa, zuchwałość i bezwzględność militaryzmu— oto niektóre ważniejsze choroby Austryi. Panują one dotychczas wszędzie, o uzdrowieniu organizmu państwowego niema mowy, przeciwnie — idzie ku gorszemu. Jeden jest tylko objaw niezaprzeczony, że Słowianie zaczynają zajmować coraz wybitniejsze — jak dotychczas liczebnie tylko — stanowiska. Wyrastają oni jak z pod ziemi, tam nawet, gdzie dawniej były twierdze niemczyzny. Powoli przyjdzie niezawodnie do tego, że zdołają sobie wywalczyć przeważny udział i w rządzie.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w tym ruchu Czesi rej wiodą z całą bezwzględnością, bo zarówno z Niemcami, jak i z Polakami walczą na korzyść swojej narodowości. Czemuż nam w Galicyi braknie tej energii narodowej, jaka się w Czechach rozbudziła tak gwałtownie! Sprawili oni teraz Wiedeńczykom niespodziankę bardzo bolesną, założywszy tam dom narodowy czeski, którego otwarcie odbyło się niedawno. Będzie on niejako punktem zbornym wszystkich Czechów w Wiedniu zamieszkałych, a równocześnie fortem, wysuniętym daleko w szeregi niemieckie. Patrząc na to wszystko, mimowolnie nasuwa się na myśl, że Słowianie w swojej długowiekowej walce z Niemcami nauczyli się nareszcie zwyciężać i powoli zaczynają wysuwać Germanów z dawno zajętych redut. Budzenie się słowiańskiego ducha i idei tam nawet, gdzie dotychczas, jak w Niemczech i Prusiech, panowała niepodzielnie niemczyzna; wściekłość i bezwzględność Germanów, którzy najlepiej rozumieją doniosłość i znaczenie zwycięztwa Słowian, najwięcej może o tem budzeniu się świadczą. Cóż robić! Fale życia narodów i państw przepływają i odpływają jak fale morza; z tem trzeba się liczyć. Żadna siła tego przypływu i odpływu nie powstrzyma.

Ale wracam do domu narodowego w Wiedniu. Pod jego hasłem występują właściwie dwie idee: polityczna i ekonomiczna. Wyraźnie to zaznaczył w swojem przemówieniu poseł Kurz. Podniósł on potrzebę wspierania ekonomicznie tylko „swoich.“ Od pół wieku — powiada — prowadzą Czesi walkę o byt w swoim kraju, na Morawie i na Szlązku, a teraz, zdobywszy punkt środkowy, będą mogli tem skuteczniej prowadzić walkę, której ostatecznym celem jest społeczne, ekonomiczne i polityczne równouprawnienie narodu czeskiego w *Niższej Austryi*. Zapał w każdej walce jest rzeczą piękną, ale przesadny równa się zaślepieniu, które częściej prowadzi do marnowania sił, niż do ich zużytkowania. Nasuwa mi się ta uwaga właśnie z powodu roszczeń czeskich. Nie dziwię się, że pragną dla swoich 100,000 Czechów stworzyć ognisko narodowe w Wiedniu, ale dziwię się, że chcą walki tam nawet, gdzie Czechów niema, jak np. na Szlązku austryackim. Rdzennie polska ta dzielnica na pół miliona przeszło mieszkańców zawiera kilkanaście tysięcy Niemców i tyluż Czechów, którzy stanowią przeważnie żywioł napływowy miejski. Przy takich stosunkach walka, mówiąc trywialnie, byłaby i jest tylko zagalopowaniem się, zaślepieniem patryotycznem — niczem więcej. Opieranie pretensyj politycznych, a bardziej jeszcze narodowych, na chwilowych i bardzo niestałych zwycięztwach oręża czeskiego z przed tysiąca lat, może ujść w romansie historycznym, ale w życiu jest śmiesznem. Można tam tworzyć ogni-

ska czeskie tak samo, jak w Wiedniu lub Nowym-Yorku, ale po za tem trzeba się pogodzić z etnografią i nie walczyć z wiatrakami, bo pretensye czeskie do Szlązka są co najwyżej takie same, jak polskie do Pragi czeskiej.

Zakończyły się we Lwowie obrady ankiety szkolnej pod przewodnictwem marszałka, Stanisława Badeniego. Były one niezmiernie charakterystyczne pod wielu względami. Nie doprowadziły i nie doprowadzą do żadnych rezultatów, bo u nas wszelkie ankiety są tylko sposobnością do wygadania się, jak różne komisye — do grzebania niemiłych spraw. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że p. Badeni zachował się jak kacyk z Dahomeju: nie dopuścił do sali obrad dziennikarzy i sprawozdawców pod tym pozorem, że sala jest za mała, chociaż wybrać większą zależało od niego. Ale nie chciał — i dosyć. Dziennikarze są tak zuchwali, że niekiedy mają odwagę krytykować go, a on, jak każdy wielki człowiek galicyjski, nie znosi krytyki. Następnie, drugi dygnitarz, faktyczny kierownik Rady szkolnej, p. Bobrzyński, nie uznał za stosowne, ażeby ta instytucya, bądź co bądź „krajowa,“ wystąpiła ze swoją opinią. On jest kawałeczkiem rządu, bał się przeto, ażeby ta okruszyna władzy, jaka błyszczy na jego kołnierzu, nie została w czemkolwiek narażoną — wobec Wiednia. Przysłał przeto męża zaufania, obdarzonego przywilejem nieomylności, który sam nie miał prawa mówić, co myśli o teraźniejszej szkole, ale tylko „prostował błędne zapatrywania innych.“

Wogóle sytuacya była taka: do narady wezwano większą część profesorów gimnazyalnych, tj. ludzi zależnych od Rady szkolnej i żądano od nich szczerego sądu i poglądu na szkołę, będącą pod kierunkiem tej Rady; co było tem trudniejsze, że ona, jako instytucya „krajowa,“ usuwając się od wygłoszenia swojej opinii, tj. wyrzekając się spółdziałania z całem społeczeństwem, tem samem dowodziła, że wszelkie reformy uznaje za niepotrzebne. Jakże tu było walczyć z własnym przełożonym?

Narady skupiły się koło kilku punktów: systemu szkolnego wogóle, charakteru szkoły średniej, jej ducha itp. Nie mogę nad tą ważną dla nas sprawą zastanawiać się szczegółowo, bo jest to zadanie pedagogów, ale ponieważ i rodzice są także pedagogami z konieczności, ponieważ także szkoły przechodzili i kierować muszą własnemi dziećmi, sądzę, że są to powody dość ważne, ażeby każdemu wolno było mówić. Społeczeństwo, jako całość, ma prawo i obowiązek żądania takiej lub innej szkoły, a pedagogowie powinni wskazać sposób zorganizowania jej; społeczeństwo reprezentuje sumę doświadczenia życiowego, pedagogowie — tylko fachowego. U nas zmieniono role: przeważny głos oddano nauczycielom; oni trzymali pierwsze skrzypce, a obywatele tu lub owdzie odzywali się nieśmiało. Z tej racyi może, ażeby nie wysłuchać głosu potępienia powszechnego o szkole teraźniejszej w Galicyi, ankieta ten temat drażliwy opuściła zupełnie, ograniczając się do strony fachowej — jak gdyby pierwsze miejsce w życiu narodu zajmowała ta odrobina nauki, jaką szkoła daje, a nie duch, jakim ona jest przesiąknięta.

Najgwałtowniejsze były dyskusye nad tem, czy grekę i łacinę zostawić, czy też je usunąć? Czy szkoła ma być nie jednolita, tj. z dwoma zasadniczo różnymi kierunkami, istniejącymi dzisiaj, humanitarnym i realnym, czy też jednolitą? Większość zgodziła się na pierwszą. Po długich rozprawach przeszedł wniosek hr. Reya— (mając w rodzie swoim Reya z Nagłowic, możnaby z hrabstwa austryackiego skwitować). Według brzmienia tego wniosku, szkoła jednolita miała być tylko w niższych klasach, w wyższych kierunek humanistyczny i realny szłyby równorzędnie. Nauka greki byłaby względnie obowiązującym przedmiotem; w klasach o kierunku humanistycznym zastąpiłaby ją wyczerpująca nauka o kulturze greckiej. Do uniwersytetu maturzyści obu kierunków mieliby równy przystęp.

Taki był rezultat obrad.

Oprócz tego ubocznie potrącono o różne bardzo ważne cele i zadania. Odzywały się głosy krytykujące system szkolny, tj. rozkład nauk. Niższe i wyższe gimnazyum są raczej odrębnymi organizmami szkolnymi, niż pewną całością zakończoną. Prawie każdego przedmiotu dziecko uczy się dwukrotnie: w gimnazyum niższem i wyższem, trzeci raz w uniwersytecie; stąd duża strata czasu, przeciążenie i mniejszy rezultat w ogólnej sumie wiedzy. Do wad w organizacyi szkół średnich należą egzaminy wstępne i t. zw. matury. Usunięto już egzaminy przejściowe z klasy do klasy, opierając stopień uzdolnienia ucznia na przeciętnych stopniach rocznych, a nie posstąpiono o krok dalej i nie zastosowano tej zasady do uczniów, przechodzących z dostateczną cenzurą ze szkoły ludowej do średniej. To samo powiedzieć należy i o maturze. Uczeń, który przez 8 lat przechodził z klasy do klasy, musi umieć to, czego zakres szkoły wymaga, bo inaczej albo źle i niewłaściwie był oceniany, albo źle uczony. Egzamin, jeżeli ma być próbą, winien dotyczyć nie ucznia, lecz profesora; a jeżeli uczeń w ciągu ośmiu lat tak mało skorzystał, że nie może złożyć egzaminu dojrzałości, to powinnaby być jakaś kara na profesora, bo jest to dowodem jego małej pilności, małego uzdolnienia lub panowania systemu protekcyjnego. Rodzicom chodzi o to, ażeby uczniowie najwięcej i najlepiej uczyli się w szkole, lecz nie o to bynajmniej, ażeby składali egzaminy. Nacisk na nie ze strony szkoły i państwa wywołał właśnie śród młodzieży zanik zamiłowania do nauki, bo wytworzył całe gromady szablonowych młodzieńców, zdających egzaminy *sub auspiciis Imperatoris* dla otrzymania pierścienia. Tacy panowie gonią później za urzędem i stają się gnębicielami własnego społeczeństwa, zamiast pożytecznymi jego robotnikami. Egzamin, nie nauka, staje się dla nich ideałem, a trucizna, wszczepiona w młody organizm, wytwarza później maszyny administracyjne zamiast obywateli, pokorne sługi, obłudnych chwalców wszelkich wielkości i poszukiwaczów karyery.

Czyja to wina? Że jest źle, wszyscy widzimy; nawet p. Tarnowski słusznie powiedział, że „teraźniejsze pokolenie chowa się bez nadziei i bez wiary w ludzi“ i nie zdoła osłabić tej prawdy niczem, a zwłaszcza tem, że wzrasta w niej „poczucie obowiązku.“ Jest to nieporozumienie co do wyrazu: wzrasta poczucie służalczości, które nie ma nic wspólnego z obowiązkiem. W tem właśnie wina szkoły. Ona stała się czemś w rodzaju hederu żydowskiego, gdzie w młode głowy wbijają przemocą abecadło hebrajskie, zimną, sztywną, obojętną na życie; nie umie kształcić charakteru dziecka, bo tego nie uczy szkoła niemiecka—ideał dla naszych pedagogów. Tam charakter urabia życie państwowe, którego u nas niema. Każdy szlachetny, wzniosły popęd szkoła nasza w dziecku obniży, ażeby nie stanąć w sprzeczności z wymaganiami państwowemi, a rozwinie w niem kult siły, pokorę obłudną, obojętność narodową.

Gdyby kiedy zebrała się ankieta, któraby miałaby na celu zbadanie szkoły średniej na prowincyi, jej wartości wychowawczej i narodowej, pokazałbym tym panom szkołę godną studyów psychologa i pedagoga: nową, piękną, według wszelkich wymagań zbudowaną, gdzie uczą doskonale i z pewną metodą pchają wszystkie podręczniki do głowy dzieci, a jednak znam rodziców, którzy uciekli z tego miasta przed brutalnem postępowaniem dyrektora. Cóż wobec tego przyniosą wszelkie narady nad poprawą szkoły, kiedy przedewszystkiem trzebaby od pedagogów zacząć reformę, od kierownictwa szkoły odsunąć ludzi anormalnych, złego charakteru, gburów, maltretujących dzieci i rodziców, ludzi suchego serca, nieuków, więcej kochających papugi i psy, niż młodzież oddaną ich opiece. A jednak takich ludzi popiera Rada szkolna, a szczególnie inspektorowie, którzy żadnej uwagi nie zwracają na to, jacy profesorowie i jakie narodowości uczą języka polskiego i „historyi krajowej,“ jakim żargonem mówią a co gorsza zmuszają do tego dzieci. Tacy dyrektorowie i tacy profesorowie nie kształcą młodzieży, nie rozwijają zdolności, lecz koszlawią i przygotowują materyał zależnych urzędniczków starostwa, którzy jeszcze przed ukończeniem uniwersytetu obliczają pensye i czas, kiedy zostaną radcami. Namiestnictwo i urzędy wiedeńskie mają z nich wybornych wykonawców, ale społeczeństwo polskie mało korzyści. Jaki materyał wychodzi niekiedy ze szkół naszych, dość jest przypomnieć lwowski związek akademicki, „Leopolia,“ w którym Polacy noszą burszowskie znaki i mówią z sobą po niemiecku. Lepsza i uczciwsza młodzież postawiła sama pytanie doniosłe: czy taki związek może być uważany za honorowy?

Ale niestety, ankieta moralnej strony szkoły galicyjskiej nie dotykała.

Cho.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Wyjaśnienie senatu.

Według *Juridicz. Gazety*, Senat dał następujące wyjaśnienie art. 698 [illegible] X, cz. I „Zbioru praw“): chociaż osobom pochodzenia polskiego w Kraju Zachodnim nie zabroniono nabywania oddzielnych kolonij w miastach, to jednak nie mogą one nabywać całych miasteczek lub ich części w charakterze majątków obywatelskich, a więc z przejęciem praw i przywilejów, służących właścicielowi miasta. Jeżeli chodzi o kupno kolonii w miasteczku, należącem do rządu miast (a więc posiadającem zarząd miejski lub przypisanem do miasta) i niestanowiącem własności dominialnej, to przeciwko sprzedaniu osobie pochodzenia polskiego oddzielnych kolonij prawo nie stawia żadnych ograniczeń. Jeżeli zaś miasteczko nie znajduje się na stopniu miasta, sprzedaż w niem kolonii jest bezwzględnie wzbronioną. Wreszcie jeżeli miasteczko jest dominialnem, możliwość dokonania tranzakcyi zależy od tego, czy osada obywatelska stanowi część dóbr obywatelskich w znaczeniu określonem przez wspomniane wyżej orzeczenie Senatu.

Pożądana przemiana.

Russk. Trud. opowiada o głębokiej zmianie, jaka dokonała się w pojęciach i dążeniach społeczeństwa polskiego w guberniach litewskich. „Polacy — mówi to pismo — wzięli się energicznie do przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych i do rolnictwa w swych majątkach, wiodą życie czynne i oddają się całą duszą pracy. To też najlepsze apteki, najpiękniejsze sklepy np. w Wilnie są własnością Pola-

ków. Pierwsze biuro komisowe, założone niedawno na szerokich podstawach i wybornie zorganizowane, znajduje się w rękach polskich. Pewien Polak, szlachcic ze średniem wykształceniem, nauczył się szewctwa i otworzył magazyn cieszący się wielkim zbytem. Inny również z dobrej rodziny i z pewnem wykształceniem urządza za miastem fermę, otwiera w środku miasta sklep owocowy i sam w nim siedzi. Wreszcie na czterdziestu co najmniej piekarniach widnieje nazwisko ich właściciela hr. Antoniego Tyszkiewicza, który uznał za rzecz korzystną zamieniać swe żyto na razowiec, formalnie rozchwytywany.

„Słowem Polacy, pozbawieni możności urzędowania, otrząsnęli się z rozgoryczenia i pracują energicznie na własne ryzyko. Zarazem znika wyraźnie wśród nich duma, życie nad stan i blaga. Dawny typ zgryźliwego szlachcica, typ niesympatyczny dla Rosyanina, ustępuje miejsca innemu: gorliwego i prawego pracownika, liczącego tylko na siebie i umiejącego zarabiać pieniądze, nie zamieniając się w lichwiarza, lecz pozostając najzupełniej inteligentnym i czynnym człowiekiem."

Pragnęlibyśmy, ażeby to wszystko było prawdą. A w tem życzeniu nie chodzi nam wyłącznie o stronę materyalną owej przemiany, lecz głównie o moralną. Wieczne uganianie się za „posadami" licho płatnemi a nadewszystko wytwarzającemi stosunki zależności wytwarzało ogromną masę serwilizmu, obłudy i tchórzostwa, z czego nigdy nie mogą się rodzić ani silne przekonania, ani czyste uczucia. Człowiek, który żyje z własnej pracy, będzie zawsze lepszym od żyjącego z cudzej łaski. Szturm do rozmaitych biur i kantorów — a zwłaszcza do schroniska wszystkich wykolejonych — do dróg żelaznych jeszcze trwa dotąd, ale już nie tak natężony. Czego nas nie mogła nauczyć teorya, tego nas nauczyło życie — wielkich korzyści z pracy samodzielnej.

Związek roboczy.

Zorganizowany w Warszawie na wzór „artiela" Związek roboczy (stowarzyszenie pracowników przyjmujących rozmaite zobowiązania z odpowiedzialnością zbiorową) dał znaki życia. Naprzód podpisał z tutejszemi kolejami umowę co do urządzenia składów, w których pasażerowie będą mogli pozostawiać na dworcach swoje rzeczy za opłatą 5-kopiejkową. O wygodzie, jaką zapewni podróżnym ten pomysł, nie potrzebujemy mówić, gdyż jest ona dla każdego zrozumiałą. Następnie podjął się przewożenia towarów do kolei żelaznych i przystani, a niezawodnie ujmie w swe ręce przeprowadzki. Pozornie są to przedsięwzięcia drobne i nie wspominalibyśmy o nich jako o faktach godnych uwagi publicznej, gdybyśmy nie mieli nadziei, że „związek roboczy" (nazwa niezbyt właściwa) rozpostrze sieć swoich działań szeroko i stanie się instytucyą tak poważną, jak rosyjski „artiel," który ogarnął prawie całe państwo i sięgnął do nas. „Artiel" buduje w Warszawie szpital Dzieciątka Jezus, „artiel" ma w swej opiece kasy kolei rządowych itd. Ażeby instytucya tego rodzaju przyjęła się, rozwinęła, zyskała zaufania, wrosła w potrzeby ogółu, to wymaga długiego czasu; więc nie spodziewajmy się od „związku" natychmiastowo rozległych operacyj, ale życzymy mu, ażeby kiedyś do nich doszedł.

O karczmę.

Zabawna polemika toczy się między dwoma dziennikami warszawskimi o... karczmę. Jeden z nich doniósł w korespondencyi z Suwałk, że tamtejsi ziemianie, zdobywszy skwapliwie szynki, rozpajają lud z taką samą energią i niesumiennością, jak dawniej „wyrzutki społeczeństwa." Naszem zdaniem jest to objaw zupełnie naturalny i wprost konieczny. Jeżeli ktoś bierze się do handlu perkalem lub ceratą, to nie z tym celem, ażeby ludzi nakłaniać do kupowania wełny lub skór, lecz perkalu i ceraty. Podobnie rzecz się ma z wódką. Kto obejmuje karczmę, ten stara się, ażeby ludzie w niej jak najwięcej pili i bynajmniej nie myśli o zachęcaniu ich do wstrzemięźliwości. Pod tym względem najszlachetniej urodzony ...ski lub ...icz nie różni się od Icka lub Mośka. Jest to tak prostem, jasnem i konsekwentnem, że bez śledztwa, bez dowodów, bez odkryć rzec można z matematyczną pewnością, iż każdy szynkarz szerzy pijaństwo. Jeżeli zaś ta niezbita prawda wydaje się niektórym organom prasy wątpliwą, to dlatego, że one oprócz zwykłej logiki na użytek powszechny, mają drugą logikę prenumeracyjną na użytek własny. Od czasu jak „szóste mocarstwo," zwane dziennikarstwem, zaczęło być mrowiskiem, hodującem w swych abonentach mszyce, z których wysysa słodką ciecz, wiadomo, że dla każdego pisma klasowego, opierającego swój byt na pewnej warstwie społecznej, warstwa ta stanowi pokład najczystszego idealizmu. Wszystko w niej jest śliczne i niepokalane. Rozumie się, każdy taki rój mrówek nietylko głaszcze swoje mszyce dla pobudzenia ich do słodkich wydzielin, ale broni je od wszelkich napaści. Więc też gdy ktoś oskarżył „dobrze urodzonych" o zbyt wierno naśladownictwo „źle urodzonych" za szynkwasem, patronowie pierwszych pospieszyli z obroną. Bo czyż to nie wierutne oszczerstwo, ażeby pan ...ski, sprzedając wódkę, zachęcał do picia wódki? Boże broń! On z pewnością każdemu chłopu, wchodzącemu do karczmy, mówi: „Człowieku, nie gub ciała i duszy twojej. Jeżeli żądasz koniecznie, dam ci gorzałki, ale nie biorę twego grzechu na moje sumienie." Tak się odbywa sprzedaż wódki... w gazetach większej własności... zwłaszcza przed noworocznem odnawianiem prenumeraty.

Zuchwałe monologi.

Największą śmiałość okazują pewne dusze bohaterskie w monologach. Jeżeli to są poeci, w ten sposób gromią potęgi natury, a jeżeli dziennikarze — urywają głowy hydrom niewidzialnym. Od niejakiego czasu kilka pism warszawskich składa ciągle dowody tej odwagi. Bezpieczne, że przeciwnicy nie zawiążą z niemi dyalogu, karcą ich, oskarżają, a przedewszystkiem kłamią bez skrupułu i obawy, ażeby im ktoś tych łgarstw nie przybił do języka gwoździem. Wszakże jeśli poeta woła: „Wy, wichry szalone, dokąd pędzicie?", a wichry wcale mu nie odpowiadają i dalej biegną, jak gdyby ich nikt nie zaczepiał, może on się pocieszać tem, że one mówić nie umieją. Ale jeżeli dziennikarz wrzeszczy: „O, wy, którzy" i t. d., a „którzy" milczą i patrzą na niego z ironicznym uśmiechem, powinien on z tego ich milczenia wyciągnąć dla siebie niepochlebny wniosek. Kłócić się z własnem echem, które przedrzeźnia głos, ani to zaszczyt, ani tryumf, lecz co najwyżej przestroga, że go wydawać nie należy.

Nasze telegramy.

Nieszczęsne telegramy prasy warszawskiej, zarówno „własne," jak i przysyłane przez agencye, zyskały sobie tak smutną a zasłużoną sławę, że pomimo tylu dzienników jest jeszcze miejsce na jeden, któryby rzeczywiście posiadał depesze drutowe. Czytanie tej rubryki w naszych gazetach może wyleczyć z hypohondryi, tyle w niej humoru. Mniejsza, że zawiera ona wiadomości stare, które pachciarz mógłby biedką przywieźć z Wiednia lub Berlina, ale ileż w niej farsy.

Paryż. Picquart ma być wkrótce wypuszczony.

Paryż. Nieprawdą jest, że Picquart ma być wkrótce wypuszczony.

Londyn. Uzbrojenia Anglii mają na celu Chiny.

Londyn. Uzbrojenia Anglii wiążą się z jej zamiarem ogłoszenia protektoratu nad Egiptem.

Berlin. Niemcy popierają akcyę Anglii co do Egiptu.

Berlin. Cesarz Wilhelm paraliżuje akcyę Anglii w Egipcie. I tak dalej.

Albo znowu:

Kraków. M. Sokołowski został radcą dworu.

Gdyby przyrządy telegraficzne (o ile one są używane do tych wiadomości) umiały mówić, niezawodnie zapytałyby: „Czyż na to nas wynaleziono, ażebyśmy służyły do przesyłania takich banialuk? Doprawdy byłoby nam przyjemniej komunikować doniesienia o pogodzie."

Żart na bok. Dzienniki nasze powinnyby: 1) zaprzestać fabrykacyi telegramów; 2) zażądać od agencyj, ażeby ich nie darzyły głupstwami; 3) mieć korespondentów, którzyby nie łapali plotek, wzajemnie się wyłączających, ale zbierali wiadomości ze źródeł pewniejszych i 4) nie żałować poniesionego wydatku i usuwać te depesze, które posiadają najmniej prawdopodobieństwa. Dotychczasowy system jest poprostu kompromitujący.

Jubileusz grzesznika.

Czas krakowski święcił — jak donoszą pisma warszawskie — 50-lecie swego istnienia. Podobno — o czem można wątpimy — odebrał on „mnóstwo" powinszowań. Długoletni świadkowie jego działalności nie możemy przyłączyć swego głosu do tych pozdrowień, a natomiast przesyłamy dziennikowi krakowskiemu jedną radę. Ponieważ zarzeka on, że jest bardzo pobożnym, więc sądzimy, że byłoby właściwem, gdyby z okazyi swego jubileuszu odbył szczerą spowiedź publiczną i wyznał ze skruchą: ile razy w życiu swojem skłamał, ilu zacnych ludzi spotwarzył, jak bez żadnych skrupułów sumienia popierał zawsze interesy kliki stańczykowskiej ze szkodą dobra ogólnego, jak znieważał najświętsze uczucia i urągał najszlachetniejszym zasadom, jak opluwał najszczytniejsze godła, jak po nad wszystko stawiał korzyści swej samolubnej bandy, jak przyczyniał się do utrwalania niedoli ludu, jak usiłował wynaturzyć całe społeczeństwo itd. itd. Widząc go we włosiennicy pokutnej przyrzekającego poprawę, złożylibyśmy mu i nasze powinszowanie. Może jednak żądamy od niego za wiele. Bo czyż podobna, ażeby ten stary Madej zapamiętał wszystkie swoje grzechy?

Ćwierć wieku pracy mozolnej.

Dwadzieścia pięć lat bez wytchnienia pracować w zawodzie nauczycielskim, dwadzieścia pięć lat czuwać nad rozwojem umysłów i charakterów młodzieży, w znacznej części bezinteresownie, z zaparciem się siebie, z ofiarą własnych najniezbędniejszych potrzeb życiowych, dwadzieścia pięć lat iść wytrwale drogą najeżoną ostrymi kamieniami i kolcami życia, bez szemrania, bez zniechęcenia pomimo tej pewności, że po zupełnem starganiu sił pozostaną najopłakańsze, najcięższe resztki istnienia bez jutra — na to wszystko trzeba mieć nietylko wielką duszę i hartowny charakter, lecz posiadać czyste pierwiastki miłości bliźniego i kultu dla światła. Takim bohaterem twardego życia, zasługującym na szczery szacunek i wdzięczność społeczeństwa, jest p. Floryan Łagowski, który w roku bieżącym kończy ćwierć wieku pracy mozolnej na niwie pedagogicznej. Po odbyciu studyów w uniwersytecie warszawskim (ze

stopniem kandydata nauk filologiczno-historycznych) rozpoczął pracę nauczycielską w r. 1871 i odtąd nie przerywał jej ani na chwilę, uprawiając jednocześnie literaturę. Od r. 1872 do 1875 był przełożonym szkoły czteroklasowej prywatnej w Koninie, potem nauczycielem języka polskiego i historyi literatury w szkołach prywatnych w Warszawie. W r. zaś 1884 został przełożonym szkoły klasycznej 4-klasowej, a obecnie jest kierownikiem 6-klasowej realnej. Niezależnie od tej pracy uciążliwej, przez pięć lat był redaktorem *Przeglądu pedagogicznego* i współpracownikiem *Encyklopedyi wychowawczej*, nadto zasilał swoimi artykułami inne pisma. Wreszcie wyszło z pod jego pióra kilka prac większych, wydanych osobno, między innemi o Konarskim („Collegium Nobilium“) i „O znakach pisarskich.“ Za tę płodną a nierozgłośną działalność ślemy niezmordowanemu pracownikowi słowa podzięki.

BADANIA NAUKOWE.

DZIEJE WYSIŁKU FIZYCZNEGO.

III.

Nadeszły wieki przymusu i ciemięztwa, niewolnictwa i pańszczyzny, kiedy włościanie uskarżali się, że „już południe przychodzi, a my jeszcze żniemy; czy tego chce urzędnik, że tu pomdlejemy.“ Systematyczny wysiłek mięśni, będący dotychczas jedynie wynikiem konieczności przyrodzonej, zamienił się na urządzenie, pochodzące z ukształtowania stosunków społecznych. Ale narzędzia pracy nie uległy zmianie, były to te same rydle i motyki, sierpy i cepy, zrzeszenie zaś, wobec przeważania wielkich fortun ziemiańskich, stało się nieodłączne od robót na roli. Sarkastyczny talent Heinego stworzył maluchne arcydzieło ironii, opowiadające o tem, jak murzyni, wiezieni z kraju ojczystego do plantacyi, umierają z tęsknoty i melancholii. Lekarz okrętowy znajduje radę: trzeba wyprowadzić ich na pokład, zagrać skoczną melodyę — niechaj tańcują, a w upojeniu zapomną i o przeszłej swobodzie i o niepowabnej przyszłości, która czeka ich w nieznanym kraju.

...Musik! Musik! die Schwarzen sollen
Hier auf dem Verdecke tanzen.
Und wer sich beim Hopsen nicht amuesiert
Den soll die Peitsche kuranzen...

W wiekach ciemięztwa istota ludzka niejednokrotnie musiała wpadać na ten sam pomysł, który ocalił oczigodnego mynheer van Koeka od ruiny. Zmuszony do nadmiernego wysiłku mięśni, traktowany jako bydlę, upadający pod ciężarem narzuconych obowiązków, człowiek osładzał śpiewem i rytmiką ruchów ponoszone ciężary. Nasi włościanie pańszczyźniani uskarżając się na przeciążenie pracą, obawiali się głośno o tem mówić. Za pasem starosty wisiał bicz, którym może on prędko kogoś namacać, „a zły to frymark poczuć go na plecach. Znaleziono przecież radę: któraś postanawia zaśpiewać, chociaż „niesmaczno idą pieśni, gdy się poci ciało,“ i zawodzi o „słoneczku, ślicznem oku, oku dnia jasnego,“ które „nie jest zwyczajów starosty naszego.“

To samo powtarza się gdzieindziej w epoce przymusu pańszczyźnianego i niewolnictwa.

Starożytni nie znajdowali w tem nic osobliwego, ażeby dźwięki fleta przywodziły tłokom, tj. robotom zbiorowym. Petroniusz opowiada, iż w domu zamożnego Trymalchjona niewolnicy uskuteczniali obowiązki swoje wśród śpiewów. Nietylko śpiewano, lecz także wprowadzono do roboty żywioł taneczny. Rzymianie porównywali miarowe uderzenia foluszników do tańca Salijczyków z mieczami w ręku; wizerunki rozczyniania i wyrabiania (nogami) ciasta w piekarniach egipskich pozostawiają wrażenie sceny z baletu, a podobny pierwiastek, acz całe życie nasze tegoczesne nie sprzyja temu, możnaby odnaleźć w naszych cegielniach podczas deptania gliny.

Nie godzi się więc przedstawiać sobie czasów niewolnictwa i pańszczyzny, jako ponurych ciszą i smutkiem, jako znających jedyną melodyę — zgrzytu zębów z wściekłości i łkań utajonych a przecież zawsze w piersi obecnych. Nie, tam pod knutem dozorów i biczem włodarzów tańczono i śpiewano więcej, niż w naszej epoce niewielkich posiadłości i działek, upajano się rytmiką i w ten sposób łagodzono sobie ciężar wyzysku, spoczywającego na pracujących. Rzesze niewolnicze, które wznosiły piramidy egipskie i kopały kanały, niewątpliwie tak osładzały sobie chwile znoju i wysiłku. Tę przeszłość jesteśmy zdolni jako tako odtworzyć ze wzorów teraźniejszości. Kasiowie, plemię górskie w Indyach przedgangesowych, jeszcze dzisiaj na mogiłach stawiają olbrzymie pomniki megalityczne. Odłupują od skały płyty kamienne, używając klinów. Niektóre z tych dobytych głazów ważą około dwudziestu tonn. Przenoszą je, podkładając pnie zaokrąglone tak, ażeby tarcie było jak najmniejsze. Trzysta i nawet czterysta osób pracuje pospołu i w ciągu paru godzin przesuwają płytę na milę angielską. Jeszcze większe tłumy spędzano w Egipcie, narzędzia były te same, a dozorcy, którzy zęby zjedli na pilnowaniu pracujących, w sposób empiryczny chyba zbyt dobrze poznali wartość forteli van Koeka, ażeby mieli przeszkodzić rytmice ruchów, nawet przechodzącej w pół-pląsy, i wyznaczaniu tempa wysiłku w melodyi choralnej. Całość tych środków tak samo bezwiednie wytworzonych przez człowieka, jak mięczak otacza wydzieliną swoją ziarnko piasku i daje cenną perłę, przedstawiała rzadkiej doniosłości i mocy spoidło, wiążące gromadę pracowników w jeden olbrzymi organizm, który był zmuszony dokonywać swoich robót z taką samą dokładnością, jak dzisiaj ręce przy maszynach. Wszak w r. 1835 niejaki P. J. Schneider (cytowany u K. Buechera) twierdzi, że „przez uważne a rozsądne zastosowanie wysiłku rytmicznego w większości przedsiębiorstw, jak przy kopaniu dróg i kanałów, w budowlach, w tkactwie wszelkiego rodzaju, w kopalniach, salinach i cukrowniach, w hutach metalurgicznych i szkła, w fabrykach fajansów, tytoniu itd., możnaby wydajność pracy powiększyć o jedną czwartą.“

Minęły znowu wieki i fizyognomia społeczna uległa dalszej zmianie. Przymus pańszczyźniany upadł, tłoki i wogóle roboty zbiorowe albo zupełnie zniknęły, albo skurczyły znacznie rozmiary swoje. W większej liczbie niż przedtem na roli pojawiły się drobne gromadki, zamknięte w granicach własnej chudoby, pracujące tylko na siebie i w świadomości o tem znajdujące wystarczającą podnietę do łożenia systematycznie najbezmyślniejszego wysiłku. I narzędzia udoskonaliły się, zamiast motyk, pługi nastały, nawet nie wielkie młockarnie zamiast cepów. Punkt ciężkości społecznej, z pracy polnej, prostej i posilkującej się niezłożonemi narzędziami, przeniósł się w ogniska przemysłowe, w warsztaty, pełne wrzasku i pyłu. Tam, zamiast sprzętów, będących przedłużeniem pospolitem ramion, zaostrzeniem paznokci lub stwardnieniem pięści, pojawiły się ogromne automaty-maszyny. Warczą one i dudnią, zgrzytom i świstem napełniają przestwory pracy. Każda cząstka maszynery posiada swoją muzykę rytmiczną, ale tony poszczególne zlewają się w szmer hałaśliwy, który tak zagłusza śpiew w gardle, jak turkot wozów na ulicy wszelką rozmowę, kurz zaś męczy piersi. Miasto, a przedewszystkiem fabryka nie znają słowików. Wśród utworów Ady Negri jest prześliczny wierszyk: chłopczyna, wesół i rzeźwy, śpiewający jak ptaszę w lesie, dostaje się do przędzalni, tam piosnką pragnie zagłuszyć wrzawę maszyn, lecz w kurzu i turkocie zamiera ona niebawem mu na ustach i malec staje się ponurym mrukiem.

Wśród murów fabryki śpiew jest niemożliwy i rytmika ruchów zbyteczną. Ta ostatnia istnieje, ale nie w charakterze fortelu, mającego ułatwiać napięcie systematyczne mięśni. Maszyna nie potrzebuje pomocy takich środków fizyologicznych. Posiada ona własne tempo. Tam, w pewnym oddziale zakładu, jest lokomobila, od której, jak krew z serca rozchodzi się ruch po całym budynku i wszędzie zmusza koła do obracania się, czółenka do posuwania się i młoty do uderzania. Robotnik przestał regulować bieg narzędzi: sam powinien podnosić ręce swoje, pochylać tułów, wyciągać szyję tak, jak nakazuje rytm warczącego automatu. Stał się on dodatkiem maszyny, jej mięśniami i organami, jej wzrokiem i uchem — nic nadto. Nie wolno mu odwracać oczu od narzędzia pod groźbą nieszczęścia lub powstrzymania działalności swoich bliższych i dalszych sąsiadów. Zjawił się tam nadzorca z żelaza, nieznający litości ani zmęczenia, zawsze jednako systematyczny i zawsze przynaglający pracującego do swego równomiernego rytmu. „Jedną z najosobliwszych korzyści maszyn — powiada znany przedstawiciel zdawkowej politycznej ekonomii Babbage — jest to, że powściągają one nieuwagę, lenistwo lub łotrostwo pracujących.“ Gdzie zaś w warsztacie nowoczesnym niema takiego potworu z metalu, tam zastosowano inne środki, dające podobny skutek — płacę akordową, przyuczającą człowieka do dobywania wszelkich sił, byleby w najkrótszym przeciągu czasu dojść do wydania możliwie największego rezultatu.

Nieustający wzrost ilości wysiłku, wykładanego przez istotę ludzką w jednostce czasu, stanowi niewątpliwie rys znamienny kultury nowoczesnej. Że napięcie pracy rzeczywiście posiada taką dążność do wzrostu, o tem przekonamy się, porównywając, w tej samej gałęzi przemysłu, wydajność ręki ludzkiej w krajach niejednakowego poziomu kulturalnego lub w tym samym, ale w różnym czasie. Zwłaszcza tkactwo i przędzalnictwo dostarczają jaskrawych wzorów. Według oceny dr. Wł. Światłowskiego, intensywność tkacza rosyjskiego jest 2—3 razy mniejsza, niż angielskiego. Schulze Gaewernitz w książce swojej o przemyśle bawełnianym w Anglii przytoczył tablice statystyczne, mające uprzytomnić większe napięcie pracy w fabrykach W. Brytanii. Mianowicie trzeba na 1,000 wrzecion: w Bombaju 25 robotników; we Włoszech 13; w Niemczech 1861 r. 20, w r. 1892 zaś 8—9; w Anglii 3. Może jeszcze lepsze pojęcie o wzroście wydajności pracy da poniższa tabliczka, podająca płacę akordową za funt przędzy i wysokość całego zarobku w Stanach Zjednoczonych podczas obecnego stulecia:

	Płaca za funt przędzy	zarobek
1819/21	6,4	26,13
844/46	[illegible]	28,12
1880/82	1 9	44,40

Taki nieustający wzrost napięcia pracy (Schulze-Gaewernitz zaznacza, iż od po-

cządku ósmego dziesiątka lat prędkość dla warsztatów przędzalniczych wzrosła prawie o 15%) nie pozostaje bez głębokiego wpływu na cały organizm człowieka nowoczesnego i musiał wywołać w nim pewne zmiany duchowe. Poeci każą pracownikom od zgrzytającej zębami maszyny powstawać zmęczonymi, z osłupiałym wzrokiem, i mówią, że myśl ich, wtłoczona pomiędzy koła, szruby i piły, jest tak ciężka, jak ramiona, zwieszające się bezwładnie wzdłuż ciała. W opisie tym niema przesady, o ile chodzi o wieśniaków, wstępujących do warsztatów fabrycznych. Nicholson przytacza ustęp z pewnej zawodowej gazety, iż „bardzo często słyszeć można od mężczyzn, niemających jeszcze lat trzydziestu, że przeróbka gorszego materyału na maszynach wielkiego rozmiaru i znacznej szybkości tak ich wyczerpuje, że wieczorem nie są zdatni do niczego, kładą się tylko do łóżka i śpią, dopóki mogą. Wiele osób nie chce wierzyć tym słowom, są one jednak słuszne i można je sprawdzić codziennie w znacznej większości fabryk w okręgach przędzalniczych." Tak się dzieje z wieśniakami, którzy przybyli od pracy polnej do fabryki. Ale gdy zwrócimy się do przedstawicieli warstwy najmickiej, od paru lub kilku pokoleń przyzwyczajonych do systematycznego wysiłku pod przygrywką wrzawy i warczenia maszyn, zmęczenie nie przybiera tak złowrogiego charakteru. Oznacza to, że organizm wżył się w tempo takiej napiętej a prawidłowej pracy. Stany Zjednoczone dostarczają przykładów, jak się to odbywa. Za morze udają się wychodźcy, pomiędzy którymi napewno jest wielu takich, iż mogą podołać systematycznemu wysiłkowi, wymaganemu od nich w ojczyźnie. Nie wszyscy jednak przyzwyczajają się do rytmu roboty za Atlantykiem. Po paru latach niektórzy, zmęczeni i rozbici, zostają usunięci ze sfery wyższego prawidłowego zarobku i skazani na tułactwo i poszukiwanie lekkiego zajęcia, a znalazłszy się raz jeden na pochyłości, staczają się w niziny społeczne.

I nietylko fabryka ze swoją maszyną i płacą akordową wywołują taki dobór energii i natężenia. Całe życie nowoczesne, tak gorączkowe i zaoszczędzające każdą minutę wczasów, tak podniecające do zapobiegliwości i odkładania, działa w tym samym kierunku. Mechanizm społeczny jest jako młyn, na którym uzdolnienia fizyologiczne człowieka ulegają przemieleniu: wchodzi do niego rasa, usposobiona do pewnej intensywności w robocie, i opuszcza go, obdarzona coraz większą wytrwałością. Nieelastyczne typy giną, odrzucone jako wióry rozwoju społecznego. Są to najrozmaitsi *detraquès*: neuropatycy, rozbitki, włóczęgi, zniechęceni...

W zgiełku gorączki życia codziennego i wśród warkotu maszyn powstaje nowa odmiana ludzi — uzdolniona do napiętego wysiłku mięśni, do intensywnej uwagi, do natężeń umysłowych.

Nastręcza się pytanie: jeśli doszliśmy do takiej doskonałości w napięciu i trwałości naszej energii, to czegóżbyśmy nie dokazali, gdyby, zamiast bezmyślności, nasza praca odznaczała się pierwiastkami bardziej racyonalnymi? Mówią o niepomiernym *Sitzfleiss*'u uczonych niemieckich. Człowiek w ciągu dziesięciu godzin i więcej na dobę przez całe życie może zapomnieć o tem, iż istnieje świeże powietrze i wabiące urokiem swoim ustronia przyrody i przesiedzieć nad martwą książką lub nad retortami w pracowni. Jest on tworem owego wiekowego doboru, podniecanego przecież przez pobudkę podmiotową łaknienia wiedzy. Rozszerzmy możliwość takich wzorów na działalność wytwórczą w całem społeczeństwie, przynajmniej na znaczną liczbę gałęzi pracy, a dostalibyśmy rezultaty, przygniatające swoim ogromem.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

ANTONI LANGE.

I.

W jednym z poematów Langego „Venus-żebraczka" spogląda na zebranych przy stole szynkownianym biesiadników: „I ciemne szat ich barwy i niegodne krzyki dziwnie się przetwarzają w jej oczach i uszach. W dali gdzieś brzmią jej dźwięki tanecznej muzyki, jakaś uczta wybrańców, a tu męczenniki, co dla ich szczęśliwości wiją się w katuszach." I w umyśle poety, jak w oczach stworzonej przez niego postaci, wrażenie pierwsze ulega przeistoczeniom. Przedmiot bezpośredniego spostrzegania znika z oczu, aby odsłonić to, co jest poza nim, staje się symbolem związku rzeczy, cieniem wewnętrznej swej istoty. W cieniu akacyj lśni biały posąg, przed którym poeta staje zachwycony. Naraz aleją przeszła młoda dziewczyna. Czar jej świeżości wiosennej stał się potężniejszym od uroku, który miał w sobie piękny, lecz zimny głos. Ale posąg zostanie dla mnie wśród gęstwiny, dziewczyna przeszła i nie wróci już... Kto mnie nauczy, co lepiej na świecie: czy lepiej patrzeć na to, co *wiecznie fruwa*, czy na to, co znika jak wiosenna mgła, i przemija jak więdnące kwiecie?"

W przytoczonych wzorach poeta dał nam pewne konkretne obrazy, pewne umiejscowione zjawiska. Wszakże jego wyobraźnia twórcza nie tylko zawsze przeistacza *żywe* wrażenia na pojęcia oderwane, idee, ale nawet wrażeń tych nie poszukuje, albowiem zjawiska życiowe w ich postaci cielesnej śród snutych przez nią widziadeł są ogniwem małoznaczącem. W obszerniejszym swym poemacie „Godzina" Lange daje głos nędzom ziemi. Odzywają się one z wielką siłą; czuć, że serce poety nie jest dla nich obojętnem, ale czuć zarazem, że podsłuchane szmery, jęki, płacze i groźby przedostały się do jego świadomości już przefiltrowane: bóle te nigdy nie były doznane drogą bezpośredniego odczucia i bezpośredniego zetknięcia się z ludźmi i rzeczami, lecz poruszyły struny sercowe dopiero wtedy, kiedy były pojęciowo uprzytomnione. Poeta stwarza symbole z materyału, w którym są dla niego już skrystalizowane idee. W ideach tych świat zewnętrzny tylko schematycznie się odbija. Kiedy np. autor wskaże nam młodzieńców, poszukujących rozwiązania zagadnień życiowych u pustelników, z których każdy zamknął się w swej samotni, z trudnością uwierzymy, iż z tymi młodzieńcami spotykał się w swem otoczeniu... Ale legendy i fantazye z Wed, Mahabharaty, Koranu i tp. — wogóle z tych wszystkich ksiąg, „których czar go urzekł", są dalszym dowodem, że wyobraźnia jego woli przebywać w okręgach zaludnionych masami bezkrwistemi, niż schodzić na nasz padół częstych łez, rzadszego wesela. I rzecz to znamienna. p. Lange nie pamięta, jakie były w owych „księgach" obrazy, nie czerpie wątku do swych poezyj w powikłaniach dramatycznych, jak to czynił Słowacki, lecz chwyta tylko abstrakcye myśli filozoficznej.

Zaznaczona tu właściwość ustroju duchowego poety połączona jest, wielorakimi współobjawami i pociąga za sobą wielorakie skutki.

Wrażenie, przeistaczające się na pojęcie, refleksyę, nie szarpie gwałtownie strun sercowych, nie składa ust do wyrzeczenia okrzyku przekleństwa i zgrozy, nie budzi woli do czynu, nie staje się źródłem jakiegoś namiętnego pożądania; objawy uczucia, nawet głębokie i trwałe, będą zawsze powściągliwe. Sprawdzić to możemy niejednokrotnie na erotykach poety. Kiedy on zapewnia: „jam cię kochał całą mą istotą, całym ogniem mych *czerwonych żył*, całą życia szaloną ochotą, pulsowaniem wszystkich *moich sił*",—zapewnienie to nie porusza nas zgoła; chcemy natomiast zapytać o logikę przenośni. Inaczej się zachowamy, spotkawszy u poety rozmarzone uczucia, kiedy zbłękitniała mgła oddalenia lekkim ruchem kołysze dawno minione obrazy. Jakich szczerych, rzewnych i oryginalnych tonów dosłuchamy się wówczas u niego! Rysując sylwetkę dziewczęcia na tle gwarnego miasta, tonie w halucynacyi, która mu każe widzieć rozlany w powietrzu cień ukochanej, słyszeć szepty, czuć pieściwe rąk dotknięcia, odnajdywać swą panią w uśmiechu przechodzącej dziewczyny, w postawie i ruchu drugiej, w warkoczu złotym innej.... Każdochwilowe złudzenie ustępuje miejsca nowemu, które również jak poprzednie wstrząsa całą istotą opuszczonego: to Ona! („Cienie") „I tylko dziwne to moje uczucie zmieniło postać i treść i istotę: nieraz mi drżało w takiej rzewnej nucie, żem się obawiał patrzeć w jutro złote, i *ból utracić*, aby to ukłucie, które w półsenną mi przeszło tęsknotę, nie popłynęło tak, jak płynie woda...."

Przypomnijmy sobie raz jeszcze Venus-Żebraczkę. Wiemy jak myśl jej od bezpośredniego wrażenia szybko mknie ku obrazom dalszym, widzialnym tylko oku duszy, i że słyszane przez nią krzyki niesforne, jeżeli rażą jej ucho, to nie wskutek braku harmonii.

Poezya refleksyjna w swej istocie, obracająca się wśród najwyższych abstrakcyj; wyobraźnia, w której tworach prologiem bywają takie wiersze, jak: „Duch i natura są to osie, na których pieśni obraca się słowo" („Pieśni o słowie"), lub: „Dwiema płynie drogami duch niezwalczony człowieczy, w nieskończoności świat, w otchłań tajemnic i prawd" — taka poezya i taka wyobraźnia plastyczną być nie może. Gdyby kto chciał porównać z ołówkiem w ręku dwa utwory Tetmajera i Langego, zaznaczając wszelkie przenośnie, porównania, wszelkie figury i ozdoby, nie ręczę, czy przewaga nie okaże się po stronie drugiego, zważywszy wielką jego wytworność, a względną prostotę pierwszego. Istotnie, u autora „Godziny" — „gałąź jego myśli naga w tyrs się oplata bujnym winogradem słów, wywołanych czarodziejstwem maga". I u Tetmajera są wizye, jak u Langego, lecz odmiennego rodzaju. Gdy spoglądamy wraz z nim na jakiś ulubiony mu krajobraz fantastyczny, udziela się nam pewien nastrój; nie będzie to jednak refleksya zabarwiona czuciowo, lecz pierwotne, żywiołowe poruszenie duszy: czujemy następnie, że pewne widziadło wypełniło całkowicie wyobrażenie poety, że wprawiła w grę jego zdolność wrażeniową swymi szczegółami, barwami i cieniami, blaskiem i urokiem, a nastrój, myśl, jest współobjawem obrazu, współobjawem, który teoretycznie jeno można wyodrębnić, lecz nie w żywej istocie twórcy. U Langego zaś myśl nasza owija się o myśl poety, wzbija się wraz z nią na wyżyny, wraz z nią w głąb ducha ludzkiego spogląda. Ta myśl, wciąż czuwająca, wciąż pewna siebie, ubiera się w tysiące postaci, ale wszystkie one są tylko zewnętrzną, wyszukaną szatą, przejrzystą powłoką, którą oko nasze z łatwością przenika, — z taką łatwością, iż pewnego wysiłku potrzebujemy, by zatrzymać się na niej i odosobnić ją od treści, ocenić i rozważyć jej zalety i właściwości.

Pod względem zewnętrznym tedy poe-

zyą Langego musi być retoryczną. W okoliczności tej tkwi pewno niebezpieczeństwo. Ozdoby, niebędące częściami organicznymi obrazu, zarysowującego się całkowicie w wyobraźni, jak u Tetmajera, mogą się nagromadzać bez liku ze szkodą kompozycyi, mogą się nizać w szereg litaniowy amplifikacyi. „Są słowa święte jak ołtarze Boga, i takie mądre jak lasów milczenie, i tak podniosłe—jak do niebios drogą, i takie wieczne, jak łzy i cierpienie" i td. i td. Lecz poeta, świadomy swego celu, zazwyczaj powściąga zbyt wielką swawolę rymów...

(C. d. n.).

A. Drogoszewski.

LITERATURA ANGIELSKA.

G. Woodberry: *E. A. Poe.* 1894. — A. Barine: *E. A. Poe.* 1897.

Pochodził ze starej rodziny angielskiej, osiadłej w Irlandyi za czasów Cromwella. W w. XVIII przodkowie Poego emigrowali do Ameryki. Dziad poety odznaczył się podczas wojny o niepodległość męztwem, za które otrzymał stopień generała, posiadał jednak, niestety, zbytnie zamiłowanie do butelki. Syn jego, Dawid, alkoholik, suchotnik, nawpół zwaryowany aktor, ożenił się z artystką operetkową trupy wędrownej, Elżbietą, córką baletnicy i ojca nieznanego. Z małżeństwa tego urodziło się troje dzieci: William, pijak i awanturnik, zmarły w młodości, Edgar słynny poeta (ur. 19 stycznia 1809) i Rozalia, idyotka, która zakończyła swe dni w przytułku dla obłąkanych.

Rodzina była więc zwyrodniałą.

Oczywiście śmiesznemi są próby wyprowadzenia geniuszu Edgara z alkoholizmu, gdy należy go raczej uważać za ostatni przebłysk wyższej energii rasowej, która, jak to dalej zobaczymy, tliła się w nim *wbrew* alkoholizmowi. O tej zaś energii możemy sądzić z tego, że Lafayette podczas ostatniej swej podróży do Stanów Zjednoczonych ucałował ziemię, w której leżały zwłoki dziada poety, mówiąc: „Tu spoczywa serce szlachetne."

Dawid i Elżbieta umarli w r. 1811, pozostawiając troje niemowląt na łaskę ludzi. Edgar wzięty został przez bogatego kupca, Johna Allana, nie tyle z własnej chęci, lecz ulegając kaprysowi żony. Sam Allan spoglądał na swój postępek, jako na czyn miłosierdzia. Edgar jednak tego później nie spostrzegał i uważał się za przybranego syna, który może liczyć na bogate dziedzictwo. Pani Allan otaczała go zbytkiem i psuła nadmierną dobrocią, która nie nakładała żadnych hamulców na wolę młodego chłopca. W jednem ze swych opowiadań, „William Wilson," które jest rodzajem autobiografii psychologicznej, Poe skarży się w sposób następujący na ten brak dyscypliny moralnej w swem dzieciństwie: „Jestem— powiada—potomkiem rasy, która zawsze się odznaczała temperamentem pobudliwym i żywą imaginacyą; od samego dzieciństwa było widocznem, iż odziedziczyłem charakter mej rodziny. który z wiekiem stawał się we mnie coraz wyraźniejszy; był on przyczyną niepokoju dla mych przyjaciół i szkody dla mnie samego. Stałem się uparty, oddany najdzikszym kaprysom i najbardziej wyuzdanym namiętnościom. Rodzice moi zrobili przeciw nim kilka prób słabych, źle skierowanych, które się nie udały i doprowadziły do zupełnego mego wyzwolenia." W r. 1815 Allanowie wyjechali wraz z Edgarem do Anglii i oddali go tam do szkół. Gdy miał lat dwanaście, powrócili z nim do Ameryki; uczęszczał do gimnazyum w Richmondzie. Odznaczał się on wielkiemi zdolnościami, ale przez kolegów nie był lubiany. Jeden z nich, pułkownik John Preston, w ten sposób o nim się odzywa: „Pomimo całej swej wyższości, nie był on ulubieńcem szkoły; uparty, kapryśny, rozkazujący, nie zawsze był dobry, ani nawet grzeczny, jakkolwiek z natury szlachetny." Zarzucano mu, iż był zamknięty w sobie. Istotnie, już w dzieciństwie był zapamiętałym samotnikiem, „panem tajemnic, które nie chcą być wygłoszone." Młodzież zaś nie lubi tych dusz zamkniętych, które zdają się coś ukrywać. Na swe usprawiedliwienie mogłyby powiedzieć, iż nic od nich to zależy. Pewne natury pozostają niezrozumiałe dla siebie samych; tajemnicze, głuche instynkty odgradzają je od ludzi ścianą niewidoczną. W 17-m roku życia Poe wstąpił do uniwersytetu. Życie studenckie zrobiło zeń pijaka i karciarza nałogowego.

Zauważyć jednak należy, iż pił, zwłaszcza w latach późniejszych nie wówczas, gdy się sposobność nadarzyła, lecz wówczas, gdy popęd dziedziczny i nieprzezwyciężony w nim się budził.

Spędził w uniwersytecie tylko rok jeden. Gdy jego przybrany ojciec nie chciał spłacić zań długu karcianego, uciekł do Bostonu. Tu wydał pierwszy zbiorek swych wierszy, które nie zwróciły na siebie niczyjej uwagi. W ciągu następnych trzech lat tracimy go z oczu. Biografowie nie wiedzieli, jak je spędził Poe udzielił pod tym względem, przed śmiercią, wiadomości zupełnie fantastycznych. Miał się udać do Grecyi, która walczyła wówczas o swą niepodległość, romansował w Paryżu z jakąś hrabiną, pojedynkował się i t. d.

Nowsze badania dowiodły, iż wszystko to było wymysłem romantycznym, i że w rzeczywistości Edgar, pozbawiony środków do życia, zaciągnął się do armii amerykańskiej, że wstąpił potem do szkoły wojskowej w West-Point, skąd w r. 1831 był wypędzony za nieposłuszeństwo.

Przybywszy do New-Yorku, napróżno zaczął obnosić po wydawcach swe słynne później opowieści. Nikt nie chciał ich wydrukować pod pozorem, iż „niczego nie uczą" i że „nie zawierają żadnej nauki moralnej." Przez długi czas nie miał chleba, ani odzieży przyzwoitej.

Dopiero w r. 1835, po „czterech latach agonii", dzięki protekcyi jakiegoś „literata" zaczęto drukować jego prace. Literat ów w taki sposób go rekomendował: „Jest to chłopak o wielkiej imaginacyi i trochę skłonny ku pomysłom przerażającym. Pracuje obecnie nad tragedyą, ale ja go zwracam ku jakimkolwiek grubym pracom, które dają trochę pieniędzy". Poego współrodacy uważali za intruza w poezyi, za człowieka, który jest nie na swojem miejscu i polecali mu pracę biurową...

Począwszy jednak od r. 1835 opowiadania jego zaczynają pojawiać się regularnie. Miał już wówczas gotowe i ostateczne poglądy na poezyę i sztukę, poglądy, które systematycznie do siebie samego zastosowywał, ścierając wszelkie ślady dowolności. „Mojem zdaniem—pisał—poemat pod tym względem różni się od dzieła nauki, iż ma na celu przyjemność, a nie prawdę; a od powieści—iż przyjemność ta powinna być nieokreśloną. I dlatego zasadniczym czynnikiem poezyi jest muzyka, gdyż niema nic mniej określonego, niż nasze pojmowanie tonów harmonijnych. W połączeniu z ideą, która dostarcza przyjemności, muzyka jest poezyą. Bez tej idei jest ona tylko muzyką; a idea bez muzyki jest prozą, dlatego właśnie, iż jest określoną."

Żeby zostać w zgodzie z sobą, Poe był zmuszony wyrzucić z poezyi wszelkie namiętności, a tembardziej czynnik dydaktyczny i moralny. „Prawdziwą poezyą" była dlań, nie ta, co maluje lub objaśnia, lecz ta, co podaje niewyraźne suggestye. „Uczucie poetyckie—pisał w swych „Marginalia" — jest to zmysł ku wszystkiemu, co piękne, wzniosłe i mistyczne. Stąd wypływa bezpośrednio uwielbienie dla rzeczy ziemi i nieba, dla pięknych kwiatów, laurów, dolin, rzek, gór, miłość do gwiazd i obok tej miłości i uwielbienia żądza nieprzezwyciężona *wiedzy*. Poezya jest poczuciem szczęścia umysłowego... Duszę jej stanowi imaginacya. Jakkolwiek może ona wynosić, rozpalać, oczyszczać namiętności ludzkie, nie byłoby trudnem do dowiedzenia, iż nie ma z niemi żadnego związku koniecznego i nieuniknionego".

Teorye te były poczęści sformułowaniem temperamentu Poego. Był to marzyciel zatopiony w swych wrażeniach nieokreślonych i silnych. Wszyscy znajomi widzieli go zawsze roztargniętym, zagłębionym w swym życiu wewnętrznym; odrywając go od tych wizyi, sprawiano mu wielkie cierpienia: spoglądał na ludzi, nie spostrzegając ich. Co jednak najważniejsze, to, że ten zaczarowany świat widzeń poetyckich nie miał nic wspólnego z alkoholizmem. Owszem, *znikały* one odrazu, gdy obrzydliwy nałóg podsuwał poecie do ręki butelkę, i wówczas, zamiast snów czarownych, pojawiały się zmory ohydne. Jest to punkt na który należy zwrócić baczną uwagę, gdyż pewni krytycy ogłaszają prozę Poego bodaj czy nie za skutek pijaństwa. Była to natura marzyciela, a czemuż takie temperamenty nie miałyby się znajdować w przyrodzie narówni z realistycznymi? Czemu poeta nie miałby prawa potrącać gamy wrażeń dziwnych, fantastycznych lub nawet mistycznych narówni z rzeźwemi lub wesołemi, zwłaszcza, iż możemy wyśledzić cały rodowód jego zamiłowań i że on sam dał nam teoryę racyonalną swej pracy poetyckiej.

(D. n.).

Dr. L. Winiarski.

POEZYE

Z GÓR.

Deszcz.

A na hale, a na góry
Spadły deszcze...
Chmur ponury, ciemnopióry
Ptak rozwinął skrzydeł dwoje,
Jak sztandary, czarne mary,
Zwiastujące długie boje...
Spadły deszcze na doliny —
Na doliny, na wyżyny,
Spadną jeszcze.

Hej a z oczu się polały
Łzy gorące.
Wypłakały smutek cały
Z głębi duszy oczy moje.
Ciężką dolę, serca bole,
Troski, znoje, niepokoje
Wypłakały jasne oczy...
Zabłysnął mi dzień uroczy —
Złote słońce!

Zachód.

Ach jak płoną, ach jak płoną
Granatowe szczyty gór!
Pociemniało dolin łono,
'Słońce głowę rozpaloną
Po za wirchów składa mur.

Cisza wkoło, cisza wkoło
Milkną dzwonki górskich stad.
Zwolna w mroku kryje czoło
Stary Gerlach z głową gołą
Z Lodowy. pełen zdrad.

Krwawe błaski na zachodzie
Niewidzialna gasi dłoń,
A gwiazd złotych błędne łodzie
Wypływają na powodzie,
Na szafirów ciemną toń.

Znikło słońce. Nad Tatrami
Rozpostarła skrzydła noc.
Cisza wkoło ponad nami,
A do serc, nie wiedząc sami,
Jakąś nową czerpiem moc!

Władysław Bukowiński.

W DALI.

Piotrków. W Sosnowicach niedawno runął dom, pod którego gruzami zginęło dwoje ludzi. Z powodu tego wypadku, jak również szerzącej się w całym kraju fuszerki budowlanej, *Tydzień Piotrkowski* kreśli następujący obrazek: „Właściciel placu, któremu po otrzymaniu planu na dom już dają zadatki na mieszkania, nie dba o trwałość budowli, lecz o jej taniość, w nadziei albo dobrego procentowania się umieszczonego w murach kapitału, albo korzystnej sprzedaży budynku. Szuka więc przedewszystkiem „pana inżeniera," któryby obliczył tanio koszt budowy. Rozumie się, znajduje całe zastępy „inżenierów"; wybiera więc z pomiędzy nich tego, który jest najtańszy — i budowa rozpoczyna się. Pan „inżenier" stara się kupić tanią cegłę, oszczędza robocizny przez wykopanie płytszych fundamentów, każe dosypywać do wapna tyle piasku, że zaprawa wygląda, jak kasza na sypko gotowana, daje cieńsze belki, krótsze szyny żelazne, wogóle robi tysiące takich oszczędności — a pan właściciel tymczasem, widząc, że dom rośnie, jak na drożdżach i że już ma zamówione parter i pierwsze piętro, proponuje „panu inżenierowi," by nadbudował jeszcze jedno piętro, rozumie się, za oddzielną dopłatą. „Pan inżenier" zgadza się na to chętnie, i tak, zamiast projektowanego parterowego domu, wyrasta dwupiętrowy!" Czyż niema naprawdę środka ukrócenia zbrodni tego rodzaju? Zabójcy zwyczajni podlegają karze surowej: idą do ciężkich robót. Dlaczegóż niema chociażby lżejszej kary na zabójców pośrednich, którzy za pomocą swej spekulacyi tylu już robotników zgładzili ze świata lub narazili na wieczne kalectwo?

Łomża. Przyczynkiem do charakterystyki udogodnień, dostarczanych ludności przez komunikacye kolejowe, posłużyć może następująca skarga Łomżynian, zamieszczona w *Kuryerze Warsz.*: „Mówią, że koleje przyspieszają wymianę korespondencyi i że ułatwiają tem stosunki handlowe. Może dzieje się tak gdzieindziej, ale my, mieszkańcy Łomży, nabraliśmy innego przekonania. Kiedy nie było kolei Nadnarwiańskiej i kiedy do najbliższej stacyi kolejowej Czyżów trzeba było jechać końmi wiorst 47, odbieraliśmy listy i gazety z Warszawy o godz. 10—11 zrana, nazajutrz po ich wysłaniu. Od czasu, kiedy przybyła kolej Małkińsko-Ostrołęcka, odbieraliśmy gazety nazajutrz o godz. 4 po południu, tj. o pięć godzin później. Obecnie, kiedy, oprócz powyższej, przybyła linia Tłuszcz—Ostrołęka—Łapy, odbieramy pocztę warszawską na trzeci dzień około godz. 10 zrana. Prawda, że tak późno doręczane nam bywają listy i gazety, oddane na pocztę w Warszawie popołudniu; w całym jednak świecie o tej właśnie porze ludzie oddają listy, ale też w całym świecie poczta stara się wysłać gazety pociągami najbliższymi. Dość powiedzieć, że w Łomży dzienniki petersburskie i warszawskie, wysłane tego samego dnia, odbieramy równocześnie, chociaż jesteśmy pod bokiem Warszawy a bardzo daleko od Petersburga. Jak koleje obchodzą się z przesyłkami, poucza fakt następujący. Ktoś nabył w Warszawie rozmaite towary; część wysłał furmanką żydowską, rzeczy pilniejsze zaś pociągiem pospiesznym. I cóż się okazało? Żyd przywiózł towary w piątek, a kolej dostawiła dopiero w sobotę. Czyż więc dziwić się można, że wobec takiej opieszałości, wzdychamy do dawnych czasów, kiedy to byliśmy „odcięci od świata?"

Mińsk. Zawsze ożywione, miejscowe Towarzystwo rolnicze poruszyło wiele spraw żywotnych. Między innemi na posiedzeniu nadzwyczajnem akcyonaryuszów syndykatu rolnego, pp.: Drucko-Lubecki i Obręparski, dyrektorowie tego związku, zdawali sprawę z jego działalności, przyczem zaznaczyli, że interesy idą coraz lepiej; że gdy np. w r. z. monopoliści, skupiający w swoich rękach cały handel jęczmieniem, nie dopuścili syndykatu do układów ze spożywcami, w r. b. zdołano pozawierać już umowy na dostawę jęczmienia. Zaznaczono, iż dział zbożowy kuleje. Wyrażony przez p. Piławskiego pogląd na cele syndykatu, jako instytucyi, która powinna dążyć do wyśrubowania dywidendy od akcyi, nie znalazł uznania, gdyż nie jest to zadaniem instytucyi: syndykat winien ułatwić sprzedaż produktów rolnych i nabywać dla rolników maszyny, nawozy itp.—Resztki dóbr księżny Hohenlohe w gub. Mińskiej, a mianowicie dobra: Lubcz i Naliboki, obejmujące łącznie przeszło 40,000 dziesięcin ziemi, obecnie sprzedano przedsiębiorcom niemieckim, braciom Falc-Fein za sumę 2½ miliona rubli. Układy o kupno już się oddawna toczyły. Nowi nabywcy mają, jak zapewnia *Kur. War.*, urządzić w nabytych dobrach jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe na wielką skalę. Z drugiej jednak strony krąży wieść, iż bracia Falc-Fein chcą nowy swój nabytek oddać komu innemu ze znacznym przytem zyskiem, bo wynoszącym pół miliona rubli. Olbrzymie nietknięte siekierą puszcze nalibockie, ulubione miejsce łowów ks. Wittgensteina, a następnie jego siostry, ks. Hohenlohe, stanowią dzisiaj bogactwo nieprzebrane i nadają się bardzo do założenia tam fabryki jakiejś na wielką skalę, bo i obfitość wód jest znaczna." Pozostanie więc tylko we władaniu ks. Hohenlohe dominium Werki w pobliżu Wilna, a i na te, podobno, sporo kupców się zgłasza. „Przedwczesne mrozy — pisze korespond. *Kuryera*, a następnie śniegi obfite, które przeleżały więcej niż tydzień i obdarzyły nas niespodziewaną wyborną sanną w październiku, wiele jednak szkody rolnikom zrządziły. Mrozy zaskoczyły mnóstwo kartofli, nie wykopanych jeszcze, tudzież kapustę. W majątkach, które po kilkadziesiąt morgów sadzą ziemniaków na cele gorzelniane, prawie $^1/_3$ pozostała niesprzątniętą z pola. Są one teraz w znacznej części uszkodzone, a nawet w wielu miejscach wymarzły zupełnie. Na ogół urodzaj i kartofli i zboża był w tym roku bardzo dobry; niespodziewane chłody popsuły dużo.

Kijów. Pomimo dodatnich warunków klimatycznych, w Kijowie szerzą się choroby zaraźliwe. Błonica, płonica, ospa i tyfus corocznie pochłaniają wiele ofiar. Tyfus szczególnie prawie nigdy nie wygasa. W tym roku jednak przybrał on rozmiary groźniejsze, niż zwykle, szerząc się w ostrej formie, wśród ludności uboższej. Główną przyczyną tej epidemii jest woda do picia, zatruta nieczystościami miejskiemi, które ściekają wprost do Dniepru. Obecnie chorych na tyfus w szpitalach kijowskich przebywa stale około 200 osób. Rada miejska—jak zapewnia korespondent *Kuryera Warsz.* — acz późno, zaczyna myśleć o zaradzeniu złemu i na jednem z posiedzeń postanowiła wybudować oddzielny szpital dla chorób zakaźnych, na razie zaś zakładać ambulatorya odosobnione tymczasowo dla chorych na tyfus i rozpowszechniać wśród ludności przepisy co do walki z epidemią, opracowane przez Towarzystwo lekarskie. Nadto z funduszów miejskich wyznaczono na walkę z epidemią 6,000 rb. Na posiedzeniu rady roztrząsano sprawę utworzenia miejskiego przytułku noclegowego; w istniejących bowiem 12 prywatnych (dwa bezpłatne) już miejsc dla bezdomnych braknie, chociaż mieszczą one około 1,300 osób.

Tomsk. Dzięki zabiegom p. Staniszewskiego, powstał teatr amatorski, który daje przedstawienia na rzecz budowy przytułku. Do odegrania wybrano „Teatr amatorski" i „Kiedyż obiad." Pani Koziełło Pakiewska z Ekateryburga ofiarowała na ten cel rb. 3,000, brak zaś jeszcze 2,000 rb. Budowa całego domu ma kosztować rb. 30,000.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Wilenskij Wiestnik* donosi, iż gubernator wileński, na rozkaz generał-gubernatora, wystosował do wileńskiej rady miejskiej rozporządzenie o zmianie nazwy przedmieścia Wilna „Śnipiszki," na przedmieście „Murawiewskoje," a głównej ulicy przedmieścia, „Kalwaryjskiej," na ulicę „Murawiewską."

— Według uchwały Rady państwa, pozostające na służbie kobiety-lekarki w razie wyjścia za mąż, nie tracą praw i przywilejów służby państwowej.

— Ministeryum spraw wewnętrznych złożyło Radzie państwa projekt wprowadzenia (od r. 1899) instytucyi naczelników ziemskich w trzech guberniach zachodnich: Witebskiej, Mińskiej i Mohylowskiej. W terminie tym jednak reforma nie przyjdzie do skutku, z braku odpowiednich funduszów.

— Zarząd kolei Południowo-Zachodnich wprowadza wagon-bibliotekę do użytku pracowników w kątach zapadłych.

Doniesienia urzędowe. *Prawit. Wiest.* ogłasza rozkaz do zarządu marynarki (z d. 2 listopada), na mocy którego porucznik Hurko został usunięty ze służby w gwardyi marynarki.

Gospodarka miejska. Firma Simens i Halske wystąpiła do magistratu m. Warszawy z projektem wykupienia kolei konnej od Towarzystwa belgijskiego i wzięcia jej w dzierżawę. Oświadcza ona, iż zadaniem jej byłoby rozszerzenie linij tramwajów w całem mieście i głównie w okolicach pozbawionych dotąd tej komunikacyi, urządzenie kursów „korespondencyjnych" i innych dogodności, przy zastosowaniu się do wymagań władzy miejskiej. Wobec tego firma niniejsza ma być zaproszoną do współzawodnictwa.

Koleje i komunikacye. Skarb państwa wyznaczył potrzebną sumę na budowę kolei Kobryńsko-Parczewskiej, a departament kolei skarbowych przystępuje już do robót. Nowa linia przetnie następujące powiaty: Kobryński i Brzesko-Litewski w gub. Grodzieńskiej, część Włodzimierskiego w gub. Wołyńskiej, oraz Włodawski i część Radzyńskiego w gub. Siedleckiej. Długość linii wyniesie 121 wiorst. Odłączy się ona w Kobryniu od linii głównej kolei Poleskich, Żabinka - Brjańsk, i skieruje się przez część Polesia, obfitującego w tych okolicach w wielkie jeszcze bagna przy źródłach Prypeci, do stacyi Małoryto kolei Południowo-Zachodnich na odnodze Brześć-Równo. Stąd nowa linia wciąż w kierunku prostym dojdzie do Włodawy, pod którą z prawej strony Bugu połączy się z koleją Brzesko-Chełmską. Most na Bugu pod Włodawą będzie wspólny dla obu kolei, poczem linia przejdzie w granice Królestwa Polskiego i w stronę Turny dojdzie do Parczewa, jednej ze stacyj pośrednich kolei Łukowsko-Lubelskiej. Wogóle linia ta zatacza olbrzymi łuk ze wschodu ku południo - zachodowi; najdalej wysuniętym na południe punktem tego łuku jest Włodawa. Największe korzyści ekonomiczne z nowej kolei ciągnąć będzie Włodawa, która uzyska bezpośrednią komunikacyę z Warszawą w stronę Parczewa i Łukowa. Wiadomości te podaje *Kuryer Warsz.*

— Ministeryum komunikacyi wyznaczyło 6,000 rubli na studya nad budową kanału pomiędzy Wisłą a Narwią.

— Nareszcie złapano handlarzy biletów kolejowych i oddano ich pod sąd. Należało już to dawno uczynić, zwłaszcza że ci handlarze zanadto byli powszechnie znani. Zamiast tego zarządy kolei żelaznych wolały skrępować publiczność przepisami niewłaściwymi, uwłaczającymi i krępującymi jej interesy. Zniesiono mianowicie ulgi komunikacyi podmiejskiej, ustanowiono kontrolę uciążliwą, która jej wykonawców narażała na obelgi i podróżnym odebrała wszelkie najniezbędniejsze wygody. Może złapanie winnych usunie choć w części te systematyczne szykany, dręczące publiczność.

Sądy. We wsi Aleksandrowie, gm. Jakubów, pow. Nowomińskim, na rozkaz prokuratora sądu okręgowego, uwięziono 10 włościan i 6 włościanek, oskarżonych o opór władzy przy zaprowadzeniu gospodarstwa leśnego, z powodu nowego prawa, w majątku p. Hullego, Przytoce.

Przemysł i handel. Towarzystwo pszczelniczo-ogrodnicze nabyło 11-morgową kolonię około przystanku Brwinów, ażeby założyć tam filię swoich „kursów praktycznych ogrodnictwa i pszczelarstwa,“ wyłącznie dla włościan, którzy z powodu drożyzny w Warszawie, nie mogą korzystać z nauki. Na połowie nabytego gruntu powstaną szkółki, z których szczepy po najniższych cenach sprzedawane będą włościanom na targach i jarmarkach w miasteczkach prowincyonalnych. Dla urzeczywistnienia tych zamiarów, Towarzystwo musi zbudować w Brwinowie dom mieszkalny na internat. Obecnie poszukuje funduszu na ten cel.

— Ogłoszono ustawę stowarzyszenia handlowego gospodarzy wiejskich przy Towarzystwie rolniczem smoleńskiem.

Katastrofy. Około stacyi Iwanowo kolei Jarosławskiej rozbił się pociąg balastowy, skutkiem najechania na podwodę. Osiem wagonów spadło z pochyłości i zdruzgotało się. Zabity robotnik; ciężko ranmony konduktor i robotnik, lekko — pięciu robotników. Tegoż dnia wieczorem pociąg kuryerski kolei Jarosławskiej najechał na parowóz manewrujący. Uszkodzone oba parowozy i kilka wagonów pociągu kuryerskiego.

— Parowiec amerykański, „Panama,“ zatonął na oceanie Atlantyckim. Z trzystu ludzi zaledwie garstka ocalała.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. K. w Rostowie. „Słownika jęz. pols.“ nie znamy. Nazwiska wszakże jego redaktorów dają rękojmię wartości dzieła. Co do warunków kupna— przesłaliśmy p. K. list Pański. O „Encyklop. ilustr. powsz.“ nic nie wiemy. Niech Pan zwróci się do niej bezpośrednio.

Młodemu prenumeratorowi. Właśnie wyszedł w „Bibliotece dzieł wyborowych“ p. t. „Dzieje narodu polskiego.“

Panu Ł. M. w Sandomierzu. Niemożliwem jest dla nas spisywanie i drukowanie całych katalogów bibliograficznych Wkrótce wyjdzie drugi tom „Poradnika dla samouków,“ w którym Pan znajdzie pożądane wskazówki.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

[redacted] Цензуромъ. Варшава 30 Октября 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.